

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 17 lutego 1912. Nr. 7.

Tajemnicze zwłoki dziecka.

(Treść na str. 2).



Tajemnicze zwłoki dziecka.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed kilkunastu dniami zaszedł w Krakowie fakt, osłonięty mgłą tajemnicy. W jednym z drugorzędnych hoteli przy ul. Kopernika, przy porządkowaniu pokoju dla nowego lokatora znaleziono na piecu kaflowym ukryte w kącie zwłoki trzyletniej dziewczynki, blondynki, ubrane w koszulkę i owinięte w kilka szmat.



Tajemnicze zwłoki dziecka: Zwłoki dziewczynki, znalezione na piecu w hotelu przy ul. Kopernika w Krakowie.

Zwłoki w pokoju pozostawały już kilka dni, a wykryto je tylko dlatego, że kiedy napalono w piecu, pod wpływem gorąca zwłoki zaczęły wydawać woń nieprzyjemną. Rozpoczęto poszukiwania, przy których służba hotelowa odkryła ciało zmarłej i przerażona wezwała policyę.

Przy pierwszem badaniu na miejscu stwierdzono, że dziecko zostało uduszone i następnie ukryte. Rozpoczęto więc poszukiwania za morderczynią. Jak stwierdzono, ostatnio zamieszkiwała ten pokój pewna pani, przybyła z Królestwa z małą dziewczynką. Przybyła ona z Sosnowca, aby szukać porady lekarskiej dla swej małej córeczki. Powstało więc przypuszczenie, że ona to, pragnąc się pozbyć nieuleczalnie chorego dziecka, udusiła je i porzuciła. Policya wysłała też inspektora Mohra do Sosnowca, aby rzecz na miejscu zbadał.

Tymczasem komisya sądowo-lekarska przeprowadziła sekcyę zwłok dziecka i od tej chwili rozpoczyna się sensacyjny zwrot w całej sprawie. Otóż sekcya wykazała, że dziecko nie zostało zamordowane, ale zmarło nagle w hotelu. Na drugi dzień powrócił z Sosnowca p. Mohr i przyniósł wiadomość, że domniemana matka „zamordowanego“ dziecka powróciła tam z żywą i zdrową swą córeczką, wobec czego nie może być morderczynią.

Rozpoczęto więc dalsze badanie, zwrócone w innym kierunku. Okazało się mianowicie, że w tym samym pokoju mieszkała również z chorem dzieckiem pewna pani, która zameldowała się jako Edwardowa Kozłowska, żona ślusarza z Bogumina. Przyjechała ona szukać porady lekarskiej dla dziecka w szpitalu św. Ludwika. Śledztwo jednak stwierdziło, że wcale z dzieckiem w szpitalu nie była, a na drugi dzień po przybyciu znikła.

Wysłano więc znowu do Bogumina inspektora policyi, aby tam p. Kozłowskiej poszukał. Tymczasem tam nie znaleziono kobiety tego nazwiska.

Wobec tego sprawa przybiera tajemniczy obrót. Wprawdzie prawdopodobnie nie zachodzi tu fakt morderstwa, raczej przypuszczać można, że dziecko zmarło nagle w hotelu, a matka nie chcąc mieć kłopotów z władzami, porzuciła je i znikła. Według dotychczasowych wyników śledztwa rzekoma Kozłowska jest osobą młodą, liczącą około 35 lat, przyzwoicie ubraną.

Dziecko znalezione, jasna blondynka, dobrze odżywiona, ubrane było w białą, dosyć grubą koszulkę i owinięte w staniczek trykotowy biało niebieski, oraz w kawałek czarnego klotu.

Przyszły władca Bułgaryi.

Bułgarya pod rządami króla Ferdynanda zaczyna powoli zyskiwać sobie powagę i uznanie wśród państw europejskich. Dowodem tego była uroczystość ogłoszenia pełnoletności bułgarskiego następcy tronu ks. Borysa, która odbyła się w obecności delegatów prawie wszystkich dworów europejskich.

Król Ferdynand nie cieszy się zbytniem przywiązaniem swych poddanych. Mimo całej pracowitości, z jaką sprawuje rządy państwa, Bułgarzy uważają go za obcego. Natomiast młody książę Borys, urodzony i wychowany na ziemi bułgarskiej cieszy się już dzisiaj mimo młodego wieku wielką sympatyą, gdyż Bułgarzy widzą w nim swego przyszłego narodowego monarchę.



Odznaczenie polskiego uczonego: Dr. Oswald Balzer, profesor uniwersytetu lwowskiego.

Uroczystość ogłoszenia pełnoletności następcy tronu miała charakter wojskowy. Po uroczystem nabożeństwie w katedrze, złożył ks. Borys przysięgę żołnierską w szkole wojskowej, poczem został przydzielony do 6 pułku piechoty. Następnie król obdarzył go orderem św. Cyryla i Metodego. Nastąpiła wielka rewia wojskowa.

Cesarz rosyjski przysłał w podarunku ks. Borysowi szablę ze swym podpisem oraz swą fotografią.

Uroczystości, które trwały kilka dni, zakończył wspaniały bal dworski.



Przyszły władca Bułgaryi: Bułgarski następca tronu, książę Borys.



Dyplomatyczne horoskopy: Poseł austro-węgierski w Paryżu, Aleksander hr. Szécsen (X) w otoczeniu członków ambasady.

Dyplomatyczne horoskopy.

Przepowiedniami i wróżbami chętnie zajmują się nietylko stare panny. I w polityce nie brak wróżbitów, którzy mówią lub nawet piszą o tem, co... ma stać się na horyzoncie wielkiej światowej polityki. Zwłaszcza dyplomatyczne kombinacye dostarczają dużo... fantazyi (choć zato mało faktycznego materyału) do najprzeróżniejszych przewidywań i stawiania mniej lub więcej... nieprawdopodobnych horoskopów... Nic dziwnego więc, że i zagraniczna polityka Austryi dostarcza często tematu dla redakcyjnych i domorosłych polityków, którzy już przed kilku tygodniami dali dymisyę obecnemu austro-węgierskiemu ministrowi spraw zagranicznych, hr. Aehrenthalowi i wymienili conajmniej z tuzin jego następców. Wprawdzie dotychczas hr. Aehrenthal nie został „utrącony" przez „nowy kurs" austryackiej polityki zagragnicznej, ale za to powaliła go ciężka choroba. Wobec tego faktu przypuszczenia o jego następcy stają się tembardziej aktualnemi i otwiera się nowe pole do dyplomatycznych horoskopów... Wśród wspominanych niejednokrotnie dyplomatów, którzy mają objąć spadek po hr. Aehrenthalu, wymieniano między innemi nazwisko obecnego ambasadora austro-węgierskiego w Paryżu, hr. Szecsena.

Z tej okazyi zamieszczamy grupę członków ambasady austro-węgierskiej w Paryżu z domniemanym następcą hr. Aehrenthala... Naturalnie, trudno dziś przesądzać, czy spełnią się te dyplomatyczne przewidywania. Wolimy nawet skonstatować, że wszelkie wogóle proroctwa najczęściej zawodzą, a zwłaszcza w polityce.

Odznaczenie polskiego uczonego.

Dwie są dziedziny twórczości ducha ludzkiego, w których prawie jedyną nagrodą za wysiłki umysłu genialnego jest... sława. Wieńczy ona wawrzynem skronie zarówno artystów jak i uczonych, którzy swą cichą i mozolną pracą zbogacają dorobek ludzkości. W ślad za wawrzynem idzie dopiero uznanie ludzi, ich poklask, cześć i szacunek.

Nauka polska już niejednokrotnie zbierała zasłużone nagrody w różnych krajach Europy, a nazwisko niejednego uczonego polskiego jest znane i cenione w świecie naukowym.

Do takich pionierów nauki polskiej należy odznaczony przez cesarza w ostatnich dniach najwyższem odznaczeniem austryackiem „Litteris et artibus" dr. Oswald Balzer, profesor uniwersytetu lwowskiego.

Urodzony w r. 1858 w Chodorowie w Galicyi, ukończył studya na uniwersytach lwowskim i krakowskim, a uzyskawszy stopień doktora praw, poświęcił się specyalnie badaniom prawa polskiego. W r. 1887 został najpierw nadzwyczajnym, a potem zwyczajnym profesorem prawa polskiego na uniwersytecie lwowskim. Prace jego w zakresie prawa polskiego są cenione w świecie naukowym i zjednały mu już niejedną zaszczytną nagrodę, między innymi także członkostwo krakowskiej Akademii Umiejętności.

Z powodu wysokiego odznaczenia prof. Balzera uczniowie uniwersytetu lwowskiego uczcili go cichą, ale serdeczną owacyą.



Skazanie biskupa: J. E. ks. Kazimierz Ruszkiewicz, biskup sufragan warszawski.

Skazanie biskupa.

Głośna sprawa warszawskiego arcybiskupiego sądu konsystorskiego, przykuwająca już od dłuższego czasu uwagę całego społeczeństwa, zakończyła się w ubiegłym tygodniu przed kratkami warszawskiego sądu okręgowego. Na ławie oskarżonych zasiedli: J. E. ks. biskup Ruszkiewicz, jako prezes sądu konsystorskiego, obwiniony o wydanie wyroku, orzekakającego nieważność małżeństwa, zawartego przed duchownym maryawickim i o używanie w aktach sądowych języka polskiego, obrońca sakramentu małżeństwa przy pomienionym sądzie, ks. Antoni Ciepliński, obwiniony o „bezczynność władzy", polegającą na niezałożeniu protestu od wyroku i o sporządzenie aktów sądowych w języku polskim; notaryusz sądu ks. Roczkowski, obwiniony o „sfałszowanie motywów wyroku w kopii"; proboszcz parafii Pszczonów, ks. Teofil Pląskowski, oskarżony o udzielenie ślubu „osobom pozostającym w małżeństwie" (t. j. tym, których małżeństwo unieważnił sąd konsystorski).

Stanęły również przed sądem dwie pary małżeńskie: Józef Sękalski i Józefa z Salków Sękalska, oraz Marcin Jakubowski i Salomea z Kędzierskich Jakubowska. Ponieważ Sękalski i Kędzierska połączeni byli poprzednio związkiem małżeńskim, który właśnie sąd arcybiskupi unieważnił, zasiedli na ławie oskarżonych pod zarzutem dwużeństwa, a Jakubowski i Salkówna o „wstąpienie w związek małżeński z osobą, pozostającą w małżeństwie".

Wśród świadków oskarżenia stanęło na rozprawie kilku maryawitów, a wśród nich duchowny maryawicki Stanisław Siedlecki, którego doniesienie spowodowało wszczęcie dochodzeń sądowych przeciw biskupowi Ruszkiewiczowi i innym członkom sądu konsystorskiego. Na ławie obrońców zasiedli najwybitniejsi adwokaci: Pepłowski, Nowodworski, Chrystowski i Trejdosiewicz.

Po kilkudniowych rozprawach, w których podsądni i obrona wykazywali bezpodstawność oskarżenia i zgodność ich postępowania z przepisami kanonicznymi, sąd ogłosił wyrok, na mocy którego ks. biskup Ruszkiewicz i ks. Ciepliński zostali skazani na pozbawienie niektórych szczególnych praw i przywilejów i osadzenie w twierdzy na 1 rok i 4 miesiące, przyczem sąd postanowił przedstawić ks. biskupa Ruszkiewicza do łaski monarszej, z prośbą



Walące się domy: Zawalony dom przy ul. Janowskiej L. 12 we Lwowie.



Zgon pedagoga: Ś. p. dr. Stanisław Homme.

(Fot. M. Münz, Lwów).



Skazanie biskupa: Świadkowie oskarżenia w procesie warszawskiego sądu konsystorskiego: duchowny maryawicki Siedlecki w otoczeniu maryawitów Stanisława Lesickiego i Walentego Mrowickiego.



Skazanie biskupa: Ława oskarżonych w procesie warszawskiego sądu konsystorskiego. Siedzą od strony lewej: Józef Sekalski, Józefa Sękalska, (z domu Salkówna), Salomea Jakubowska (z domu Kędzierska, 1° voto Sękalska) Marcin Jakubowski.

o złagodzenie tej kary na złożenie z urzędu. Ks. Piąskowskiego skazano na surową naganę, pozostałych zaś oskarżonych uniewinniono... Tak się skończył ten głośny proces, którego epilog wywołał w społeczeństwie polskiem wielkie wrażenie.



Śmiertelny skok z wieży Eifla: Franciszek Reichelt w kostyumie spadochronie swego wynalazku.

Zgon pedagoga.

Nieubłagana śmierć zbiera swe straszne żniwo zarówno wśród weteranów życia, jak i wśród tych, którzy dopiero żyć zaczynają. Zabiera ludzi, którzy złożyli już dań ze swego talentu i pracy, lecz często porywa niespodzianie jednostki młode, pełne siły życiowej i zapału do pracy na pożytek społeczeństwa. Jedno takie życie, przed którem stało otworem jeszcze długie pole owocnej pracy, legło znów pod obuchem śmierci.

W tych dniach zmarł we Lwowie znany i ceniony pedagog, prof. gimnazyum VIII, dr. Stanisław Homme. Smierć zabrała go w pełni sił i energii życiowej, gdyż w 3? roku życia. Zmarły cieszył się uznaniem zarówno swych kolegów zawodowych, jak również szczerą życzliwością wśród uczniów, w których umiał swymi wykładami obudzić zapał do filologii klasycznej, którą wykładał.

Z zapałem poświęcając się stenografii, był założycielem związku stenografów i członkiem redakcyi „Przeglądu stenograficznego". Senat akademicki uniwersytetu lwowskiego zaproponował go obecnie na lektora stenografii na Uniwersytecie, ale śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu objąć tego stanowiska.

Walące się domy.

Żyjemy w czasach gorączkowego pośpiechu... i fuszerki. Ta cecha współczesnego życia uwydatnia się zwłaszcza w obecnym ruchu budowlanym. Olbrzymie kamienice wyrastają, jak grzyby po deszczu, ale również szybko... rozpadają się w gruzy. „Katastrofy budowlane", to jest walenie się domów jeszcze przed ich wybudowaniem i wykończeniem i oddaniem do użytku, stały się już zjawiskiem niemal zwykłem... Walą się również i domy zamieszkałe. Fakt taki zaszedł w tych dniach we Lwowie, gdzie runęła kamienica przy ul. Janowskiej l. 12, należąca do niejakiego Barucha Czyża... Już dawno zwracano uwagę, że kamienica ta grozi zawaleniem, lecz dopiero w ostatni poniedziałek miano przystąpić do naprawy ściany szczytowej. Dzięki tej okoliczności katastrofa, na szczęście, nie pociągnęła za sobą ofiar w ludziach, gdyż prawie wszystkie mieszkania były już opróżnione. Jedynie na drugiem piętrze, w dwóch pokojach i kuchni mieszkał z rodziną nauczyciel szkoły wydziałowej, p. Pisiewicz, który miał wyprowadzić się w poniedziałek. Ale już w nocy na niedzielę nastąpiła katastrofa. Naipierw rozległ się głośny trzask, który zbudził rodzinę p. Pisiewicza, złożoną z ośmiu osób. Wszyscy w popłochu zerwali się z łóżek i uciekli do kuchni. To ocaliło im życie. W tej chwili bowiem runęła cała połać domu, a ocalała tylko ta jego część, w której znajdowały się kuchnie.

Tylko więc prawie cudem ostatnia katastrofa nie pociągnęła za sobą ofiar w ludziach...

Illustracya nasza przedstawia zawalony dom po katastrofie.



Skazanie biskupa: Główni oskarżeni i obrońcy na rozprawie warszawskiego sądu konsystorskiego: 1. J. E ks. biskup Kazimierz Ruszkiewicz, 2 ks Ciepliński, 3 ks. Roczkowski, 4. adw. Adolf Pepłowski 5 adw. Wacław Trejdosiewicz, 6. adw. Jan Nowodworski.



Śmiertelny skok z wieży Eifla: Szczątki spadochronu Franciszka Reichelta.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

4)

— Staram się, ażeby mój dom był dla wszystkich przyjemny, dom to gniazdko rodzinne, to chluba dobrej gospodyni.

— Tak jest i zrobiłaś go takim Paulisiu... A drogie też komorne?

— Dawniej płaciliśmy tysiąc dwieście koron, ale od czasu, gdy Królewiacy pchają się do nas — westchnęła — płacimy za pięć pokoi tysiąc siedemset koron.

— Ileż to na nasze pieniądze?

— Około sześciuset osiemdziesiąt rubli — wyjaśnił Roman.

— O, drogo! U nas, w Warszawie, tańsze mieszkania — zauważyła Czajkowska — i nam nie potrzeba tak obszernego.

— A my musimy mieć takie — mówiła nie bez przyjemności radczyni — Klimeczka musi mieć swój pokój, bo śpi lekko, lada co ją budzi. Władzio uczy się do egzaminu i potrzebuje spokoju, no, nasz sypialny, jadalny i salon.

Wszczęła się ożywiona rozmowa o mieszkaniach, a gospodyni pouczała:

— Nie wypada ci, Sabinko, gnieść się w dwóch pokojach, jeśli dbasz o opinię. U nas tylko biedota ciśnie się w dwóch pokoikach. Ty i Irena musicie mieć sypialnię, Roman potrzebuje kąta swego, a gdzież jadalny i do przyjęcia gości?

— Nie myślimy zawierać znajomości, nie mamy na to.

— Tak się mówi, ale choćby dla samej Ireny, panny na wydaniu, nie zamkniesz drzwi na klucz. Tu nie odludzie, to przecież Kraków, stolica duchowa Polski, jak piszą dzienniki.

Sam nawet radca uznał za stosowne wypowiedzieć, wprawdzie stare, ale niemniej mądre słowa:

— Zważ, Sabinko: jak cię widzą, tak cię piszą. Jeśli zamieszkasz gdzieś w oficynie, w dwóch ciupach, zerwiesz tem samem ze sferą, do której należysz z rodu i jako moja cioteczna siostra, pomijając inne przykrości, na które się narażasz. Paulisia ma racyę.

Od czasu do czasu, radca spoglądał nie bez niepokoju na zegar wiszący. Spostrzegł to Roman i rzekł do matki.

— Już siódma, spóźnimy się.

Pani Czajkowska, domyślając się znaczenia tych słów, wstała.

— Zostań, Sabinko, dlaczego się tak spieszysz? — zawołała gospodyni, ze źle ukrywanem zadowoleniem.

— W waszem przyjemnem towarzystwie zapomniałam, że obiecałam być w hotelu.

— Jaka szkoda!? A może ty, Irenko, zostaniesz? Klimcia ma tak mało rówieśnic, nudzi się.

— Nie, cioci, muszę iść.

— Prosiłabym cię, Jasiu, ażebyś był tak dobry i poradził nam w sprawie bardzo ważnej. Możebyś zaszedł do nas, do hotelu, przy wolnym czasie — prosiła Czajkowska.

— Hm... mam mało czasu wogóle — spojrzał na żonę, która oczyma dała mu znak, ażeby zgodził się — ale radą zawsze chętnie ci służę. Rozumiem przecież, co to znaczy być obcą w wielkiem mieście. Zatem, kiedy mam przyjść?

— Kiedy zechcesz.

— Jutro, około siódmej, będę u ciebie w hotelu.

Gdy goście wyszli, gospodyni poczęła starannie chować resztki, pozostałe z podwieczorku, mówiąc z ożywieniem do siedzącej córki i męża, palącego cygaro.

— No, chwała Bogu, pozbyliśmy się wizyty... ale co ty mówiłeś, że Irena ładna, ja wcale tego nie widzę; a ty, Klimeczko?

— Brzydka nie jest, ale ma ruchy zbyt swobodne, powiem ordynarne i rzuca oczyma.

— O, musi być kokietka, jak każda Warszawianka — uzupełniła matka — ty, Klimeczko, doskonale obserwujesz. Uważałaś, jak wystawiała nogę, siedząc z tobą na kanapce? Skończona z niej kokietka.

— Ale powiedzcie, kogo miała ona kokietować? — zaśmiał się radca — przecież nie mnie?

— Ach, jacy ci mężczyźni naiwni — zawołała radczyni. — Czy myślisz, że kokietuje się tylko mężczyzn?

— Ojczulku! sztuka dla sztuki — uśmiechnęła się Klimcia.

— A zauważyłaś to ich uczesanie?! I to mają być Warszawianki?!

— Tak, mameczko; a tyle się mówi o ich elegancyi — skrzywiła się pogardliwie Klimcia. — Jeszcze sama Czajkowska przynajmniej grzeczna, uważna, cicha, ale Irena, hałaśliwa, impertynentka i zdaje się jej, że połknęła wszystkie mądrości.

— Bardzo się cieszę — mówiła radczyni, składając obrus — że ty, Jasiu, utarłeś im nosa; w zupełności zasłużyli.

— Ja!? — zdziwił się.

— Tylko nie udawaj — zaśmiała się. — Im się zdawało, że ten Roman, to bohater, męczennik narodowy, bo został wypędzony...

— Każdemu z Królewiaków tak się zdaje — dorzuciła córka.

— A ty, Jasiu, pokazałeś im ich głupotę, to było doskonałe — mówiła, śmiejąc się — Sabina nie wiedziała co mówić, Irena aż bladła, a Roman zgłupiał zupełnie. O, taka zimna kąpiel przydałaby się wszystkim Królewiakom.

— No, bądźcie zdrowe, pójdę już — rzekł, spoglądając na zegarek.

— Zaczekaj, klub ci nie ucieknie, a mógłbyś też czasem pogadać z żoną i córką, czy ci to tak niemiłe?

— Ależ nie, Paulisiu, tylko po całodziennej pracy należy mi się odpoczynek.

— O, już ty się napracujesz, — drwiła żona — idziesz do biura o dziesiątej, gawędzisz, bawisz się, rozmawiasz do pierwszej, potem obiad, drzemka, spacer i klub. Okropnie się napracujesz!?

— Ileż razy muszę popołudniu iść do biura — bronił się mąż.

— No, nie mówmy o tem, wiem ja, gdzie ty chodzisz — mówiła nadąsana — pewno na Łobzowskiej są biura twoje.

Radca widocznie nie miał czystego sumienia, bo powiedział dobrotliwie:

— Ot, słuchasz plotek, a mnie ani się śni chodzić gdzieś.

— Więc zostań i poświęć chwilkę czasu dla nas.

— A dobrze — rzekł, skrzywił się jednak i zaczął wybierać suchsze cygara z pudełka.

— Ty zawsze musisz mi zepsuć każdą przyjemność — narzekała żona — tak było wesoło! O czem to mówiliśmy?... Aha, o Czajkowskich. Więc oni myślą tu osiąść, pewno myślą, że my ich wprowadzimy w nasze towarzystwo, co, Jasiu?

— Nie wiem...

— Ale ja wiem i nic z tego...

— Czy zauważyła mameczka, co ta Irena powiedziała?

— Tyle impertynencyi nagadała, że nie wiem, o której Klimeczko mówisz?

— A o tym żłobie rządowym, to była wyraźna alluzya do służby rządowej.

— O, ziółko z niej! A ty, Klimeczko, tak odbijasz od niej układem, zachowaniem, taktem, że serce mi rosło. Z dwojga złego, wolę już Romana, przynajmniej cichy i skromny.

— Mameczko, cicha woda brzegi rwie — zaśmiała się córka — ja mu nie dowierzam.

— I ja nie bardzo — dodał radca — układny, grzeczny, a z robotnikami za pan brat; pewno ich buntował, a to jego wypędzenie z Królestwa całego, a nawet państwa, daje dużo do myślenia.

— Może jednak on nie zawinił tak bardzo — powiedziała żona — raczej stosunki są temu winne.

— Jest w tem, co mówisz, pewna racya. Pomyśl tylko: ja po trzydziestu latach ciężkiej pracy, mając studya prawne, doprowadziłem do tej pensyi, którą on, smarkacz, miał w dwudziestym ósmym roku i to bez prawnych egzaminów. Czy nie mogło się młokosowi w głowie przewrócić?

— No, jak jakiemu, bo nasz Władzio byłby się napewno szanował i rozumiałby swój obowiązek.

— Już muszę iść — rzekł radca stanowczo, zapinając tużurek.

— Idź już, widzę, że cię przypiliło, a kiedy wrócisz?

— Jak zwykle.

— To znaczy o jedenastej, dwunastej, czy później? — zadrwiła.

— Zwykle, to znaczy przed dziesiątą — objaśnił z powagą.

— Czy zostawić ci kolacyę?

— Nie... wiesz, że na noc nie jadam, ale tak trochę szynki, bułki, możesz zostawić.

Ucałował wreszcie rękę żony i poszedł do przedpokoju.

V.

Pani Czajkowska, czynna i energiczna niewiasta, która prowadziła sama gospodarstwo domowe i utrzymywała w porządku kasę wspólną, zaniepokojona drożyzną hotelu, postanowiła wyszukać mieszkanie w czasie jak najkrótszym i tego samego jeszcze wieczora, po wizycie u Terlikowskich, poleciła numerowemu kupienie wszystkich dzienników, tak wieczornych, jak i porannych.

Przyniósł żądane dzienniki wieczorem, więc będąc sama, zabrała się do czytania, naturalnie nie artykułów politycznych, ale ogłoszeń. Przyzwyczajona do warszawskich dzienników, była pewna, że i w krakowskich znajdzie dział ogłoszeń mieszkaniowych. Sumiennie przejrzała wszystkie ogłoszenia, ale nie znalazła ani jednego o mieszkaniach do wynajęcia.

To ją zaniepokoiło, przemknęło jej w myśli, że możliwy jest brak zupełny mieszkań, z powodu zjazdu Królewiaków, bo przecież właściciel kamienicy, dbały o wynajęcie lokalu, pustką stojącego, ogłosiłby natychmiast w dziennikach.

Tymczasem wszedł numerowy, więc Czajkowska spytała uprzejmie:

— Proszę was, czy tu są mieszkania do wynajęcia?

— Czy o hotelu mówi jasna pani?

— Nie... ale wogóle, w mieście?

— Dlaczego nie? Przecież to przed świętym Michałem, mieszkań dużo stoi pustką.

— Dużo? — ucieszyła się.

— Ojej, można nająć, aby tylko dobrze zapłacić, bo to teraz, proszę łaski jasnej pani, kamienicznicy wyśrubowali ceny, niech ręka Boska broni... kto może, to wynosi się z miasta.

— Wyjeżdżają?

— Iii, nie; ale na Krowoderską, Zabią, Czystą, albo na Topolową, Grzegórzki...

— A dlaczego niema ogłoszeń w dziennikach? — wskazała na kilka gazet.

— Bo i po co? — uśmiechnął się — za ogłoszenie trzeba zapłacić, a kamienicznik każdy skąpi grosza, że nie daj Boże.

— Więc w jaki sposób szuka się tutaj mieszkania?

— Komu trzeba, ten albo sam idzie po ulicach i patrzy na karty wywieszone, albo najmuje expresa; mamy takiego przed hotelem i ten przyniesie wiadomość, gdzie jest wolne mieszkanie.

— Czyż nie szkoda czasu na szukanie? — zarzuciła Warszawianka.

— Ee, proszę jasnej pani, u nas każdy ma czas, tylko nie służący, ten musi być zawsze na zawołanie.

Po powrocie Ireny i Romana, matka opowiedziała im o dziennikach i o swej rozmowie z numerowym.

— A wie mama — zaśmiał się Roman — chociaż nie znam Krakowa, wiem więcej od numerowego. Na jednej z kamienic widziałem spis mieszkań do wynajęcia, chciałem nawet wypisać nazwiska ulic i numerów, ale nie miałem przy sobie notatnika.

— I trafisz do tej kamienicy? — spytała z żywością.

— Naturalnie.

— Jakże to dobrze — uśmiechnęła się — bo jutro wybierałam się na poszukiwanie, co byłoby męczącem, zwłaszcza dla nieznającej miasta.

— W moim pokoju mam plan Krakowa, to nam ułatwi.

Nazajutrz rano przyniósł Roman spis ośmiu mieszkań do wynajęcia, w rozmiarach żądanych, po trzy i cztery pokoje.

Zaraz po śniadaniu, matka z Romanem wybrali się, z planem w ręku, na poszukiwania mieszkania. Przy pierwszym wskazanym numerze objaśnił ich stróż kamienicy, że owo mieszkanie zostało wynajęte przed trzema tygodniami.

Z ośmiu wskazanych mieszkań były dwa do wynajęcia, lecz żądana cena wydała im się za zbyt wysoką. Za trzy pokoje na drugiem piętrze, bez łazienki i pasażu, zaceniono miesięcznie sto siedemdziesiąt koron. Obydwa mieszkania dosyć brudne, z niewygodnym rozkładem, natomiast gospodarz zezwalał uprzejmie odnowić mieszkanie na ich koszt.

Po tem doświadczeniu, matka, zwolniwszy Irenę i Romana, sama udała się na poszukiwanie, odczytując każdą kartę wywieszoną przy bramie. Po dwóch dniach pilnych poszukiwań, przyszła wieczorem do hotelu i oznajmiła zadowolona:

— Nareszcie znalazłam mieszkanie!

— Jak to dobrze — powiedziała Irena ze współczuciem — mama tak się namęczyła. A jakie?

— Trzy pokoje na pierwszem piętrze z kuchnią, trochę brudne i nizkie, ale można będzie odczyścić.

— A czynsz, mamo? — spytał Roman.

— Sto dwadzieścia koron miesięcznie.

— No, niezbyt drogie, a łazienka.

— Niema... Widziałam może ze trzydzieści mie-

szkań, ale tylko w dwóch były łazienki... Mieszkania te nie na naszą kieszeń.

— Czy dała mama zadatek?

— Nie, gdyż chcę, ażebyście obaczyli sami, pójdziemy jutro rano, bo obawiam się, że ktoś najmie... Irenko, nalej mi herbaty... Czy był wuj może?

— Nie, mamo i zdaje mi się, że jego rady nie przydadzą się nam na nic — mówił Roman — to człowiek innego pokroju, innych zapatrywań.

— Ale on zna Kraków i może ci dać cenne wskazówki.

— Tylko, że nie przychodzi — uśmiechnęła się Irena, stawiając herbatę.

— Pewno nie mógł znaleźć czasu... Paulisia mi mówiła, że bardzo zajęty. Nie tylko rano idzie do biura, ale i popołudniu, taki nawał pracy. Skarżyła mi się też Paulisia, że jego przełożony obciąża go rozmyślnie nadobowiązkową pracą.

— Ale chyba cioci i Klimci nie obciąża — zaśmiała się Irena — a jednak nie przychodzą.

— Kto wie, czy nie były?

— W takim razie zostawiłyby bilety — upierała się Irena.

— Może i dobrze, że nie przyszły w mojej nieobecności — uśmiechnęła się matka — byłabyś Irenko jakiego bąka strzeliła.

— Ależ mamo, przez samą ambicyę byłabym bardzo uprzejmą i dobrze wychowaną panną — zaśmiała się.

Nazajutrz poszli obejrzeć mieszkanie. Była to niewielka, jednopiętrowa kamienica, brudna, odrapana, z małemi oknami. Na parterze z jednej strony mieszkał introligator, a zapach kwaśnego kleju napełniał wielką sień. Z drugiej strony mieścił się sklep spożywczy, z maglem w przyległej izbie. Podwórze dość obszerne, źle wybrukowane, było zaśmiecone. Stały tam dwa wozy z pustemi bańkami mlecznemi, a dwie pary koni jadły ze żłobu pod parkanem obrok.

— No, zapachy i towarzystwo nieszczególne — zrobiła uwagę Irena.

— Wczoraj nie było tych wozów i koni — tłómaczyła się matka, a widząc człowieka nadchodzącego z podwórza, zwróciła się do niego: — proszę pana, gdzie tu stróż?

— Ja nie tutejszy, ale spytaj pani gospodarza — rzekł, wskazując na podwórze, gdzie stał gruby, tęgi mężczyzna, z wąsem szpakowatym.

Posłyszał on rozmowę, gdyż ciężkim krokiem zbliżył się, wołając zdaleka:

— A czego tam?

— Chcemy mieszkanie obejrzeć — odpowiedział Roman — to, na pierwszem piętrze.

— A kto taki chce nająć? — spytał, podchodząc bliżej i pilnie przypatrując się przyszłym lokatorom.

— My. Czy można obejrzeć?

— A oglądnijcie, bez cóż nie?

— Może zbyt wcześnie? — rzekł Roman.

— Iii, dzień przecież... chodźcie państwo, sam poprowadzę.

Szli po schodach brudnych, wytartych, z poręczami lepkiemi od brudu. Gospodarz, przy drzwiach ujął rączkę dzwonka i potrząsł. Po chwili dał się słyszeć niewieści głos:

— Kto tam?

— Chcę oglądnąć mieszkanie, niech pani otworzy.

— Teraz nie można... nieubrana jestem.

— Cóż to za brewerye! — zawołał surowo — nikt tam panią nie będzie oglądał, tylko mieszkanie.

— Daj pan pokój — prosił Roman — przyjdziemy później obejrzeć mieszkanie.

Gospodarz ledwie spojrzał na niego, a potrząsając drzwiami krzyczał:

— Otwórz pani, a nie, to zapłacisz mi pani za cały kwartał, nie daruję ja swej krzywdy.

— Za chwilę otworzę... proszę zaczekać.

— Dobrze, że poszedłem z państwem — uśmiechnął się gospodarz — bo byłaby nie otworzyła... — a to córka pani? — pytał, wskazując ręką na Irenę.

— Tak jest.

— Pewno to syn. A cenę wie pani?

— Wiem.

— I musi pani akuratnie płacić, co pierwszego, ani jeden dzień później. Pani wdowa? Co? — a na jej potwierdzające skinienie głową, indagował dalej. — To pensyę bierze pani każdego drugiego, to już zaczekam do drugiego... A gdzie pani mieszkała dotychczas?

— Przyjechaliśmy do Krakowa — odpowiedział Roman chmurny, gdyż drażniło go zachowanie się gospodarza.

— A skąd?

— Z Warszawy.

— Aha!? — patrzał badawczo i podejrzliwie — to z Królestwa? W takim razie zapłacicie mi państwo za kwartał z góry. Inaczej nie wynajmę.

— Dlaczego za kwartał, gdy wszyscy płacą tu miesięcznie? — sprzeciwił się Roman.

— My swoich znamy — mówił twardo gospodarz — każdy bierze pensyę pierwszego i płaci, a Królewiacy nie mają żadnej pensyi, ot, przelotne ptaki. Dziś jest, a jutro szukaj go gdzieś u Moskali... Tak, powiadam dokumentnie, z góry za kwartał, albo basta z całego interesu.

— Dobrze, panie gospodarzu, płacimy kwartalnie — odezwała się matka.



Proszę was, czy tu są mieszkania do wynajęcia?

— I wymówienie mieszkania na sześć niedziel, inaczej nie.

— Niech będzie sześć tygodni — mruknął Roman.

Drzwi się otworzyły. Pierwszy wszedł gospodarz, żartując z głośnym śmiechem:

— Ano, wykoślałaś się pani przecie. Pokoje suche, jak pieprz — tłómaczył nowym lokatorom — ulica cicha, spokojna, ale i w mieszkaniu na żadne krzyki, brewerye i zbiegowiska nie pozwalam... ano oglądnijcie sobie.

Z ciemnego, małego przedpokoju wchodziło się do pokoju frontowego, z dwoma oknami, za nim z lewej strony był wązki pokoik, z jednem oknem, a drzwi na prawo prowadziły do pokoju od podwórza, który łączył się z małą kuchnią. Sufity nizkie, ściany z wytartem malowaniem, ale wogóle było jasno, gdyż ulica w tem miejscu trochę się rozszerzała.

Irena i Roman mieli miny przygnębione, ale nie chcąc martwić matki, godzili się na to mieszkanie.

Już mieli wychodzić, gdy Roman spytał gospodarza:

— A czy jest piwnica? strych?

— Jakże pan chciał — zaśmiał się — jest jedno i drugie. W mojej kamienicy wszystko w porządku.

— A gdzie wygódka?

— Jest w podwórzu — i ciągnąc Romana za rękę do okna, wskazał na nizką, drewnianą budę — ot, tam, panie! Nie ma pan żadnego fetoru panie, a wygoda jest.

Roman zwrócił się do matki, mówiąc po francusku, że wobec tej, zachwalanej przez gospodarza, wygody, mieszkanie jest niemożliwe do wynajęcia, na co się matka zgodziła.

Gospodarz patrzał nieufnie na rozmawiających w obcym mu języku i spytał:

— No i co?

— Nie możemy wynająć tego mieszkania — odpowiedział Roman — dla braku wygódki.

— Co!? — zaczerwienił się gospodarz — to za sto dwadzieścia koron, prócz wspaniałego mieszkania, zachciewa się wam wygód? To idźcie do Grandu — miał na myśli hotel — albo do Saskiego, płaćcie pięćset koron za pokój...

Czajkowska z Ireną wyszły szybko na schody, za niemi szedł Roman, zirytowany gburostwem gospodarza, który nie przestawał wyrzekać na pretensye Królewiaków.

— Takie porządne państwa tu mieszkali i niemieli fanaberyi, aż dopiero te Królewiaki, widzicie ich, czego się im zachciewa.

— Ależ to milutki gospodarz! — zaśmiała się Irena, gdy wyszli na ulicę — nie zazdroszczę jego lokatorom. Czy mama spotkała dużo takich przyjemnych Krakowiaków.

— Chyba nie — uśmiechnął się Roman — to pewno wzbogacony rzeźnik, dumny ze swej kamienicy.

— Trzeba dalej szukać — westchnęła matka.

— Poszukamy — mówił Roman — ale niechże mama pozwoli, że i ja się tem zajmę.

— Kiedy bo ty nie zwrócisz uwagi na rozkład, na kuchnię, na wygody... znudzisz się i wynajmiesz za wielkie pieniądze, a wiesz, że nam teraz ciężko.

— Wiem, mamo, ale przecież pracę znajdę i będzie nam dobrze.

— Czy jednak znajdziesz? — westchnęła — słyszałeś ilu kandydatów było na posadę Władzia Terlikowskiego.

— To inna sprawa — uśmiechnął się — przepisywać każdy potrafi, ale nie każdy zna korespondencyę, buchalteryę, towaroznawstwo, zaprowadzenie ksiąg i t. d. i t. d.

— Czy wracacie do hotelu? — spytała.

— A mama?

— Pójdę szukać mieszkania.

— Ja z mamą — rzekł Roman — i tak nie mam nic do roboty.

— Czyż jestem kopciuszkiem? — zaśmiała się Irena — chcę pracować z wami na równi. Będziemy poznawali krakowskie okazy.

— Chcecie, to chodźcie, ale będziemy szukali na krańcach miasta, mówiono mi, że tam taniej.

— Ach, te ich krańce! — śmiała się Irena — porządna żaba przeskoczyłaby z krańca na kraniec.

— To prawda, Irenko, miastem nazywają tu rynek i część otoczoną plantami... ale gdzie pójdziemy?

Roman wyjął plan miasta, przystanęli, rozpatrując się w nim.

— Jesteśmy na Karmelickiej — mówił Roman — idźmy do wału kolejowego, to kraniec miasta.

Dopiero na ulicy Zabiej znaleźli kartkę, na trzy pokoje z kuchnią i wszelkiemi wygodami. Gdy odczytywali, wyszła z bramy kamienicy niemłoda, szczupła niewiasta, w chusteczce na głowie i spytała uprzejmie:

— Czy państwo za mieszkaniem?

— Tak jest... a można zobaczyć?

— Jak karta wywieszona, to można. Stróżka jestem, mąż mój poszedł do miasta na zarobek, bo z tej mizernej płacy człowiek nie wyżyje.

— Może pójdziemy obejrzeć — przerwał Roman.

— Dlaczego nie... na schody frontowe.

— A kiedy mieszkanie będzie wolne? — spytała Czajkowska.

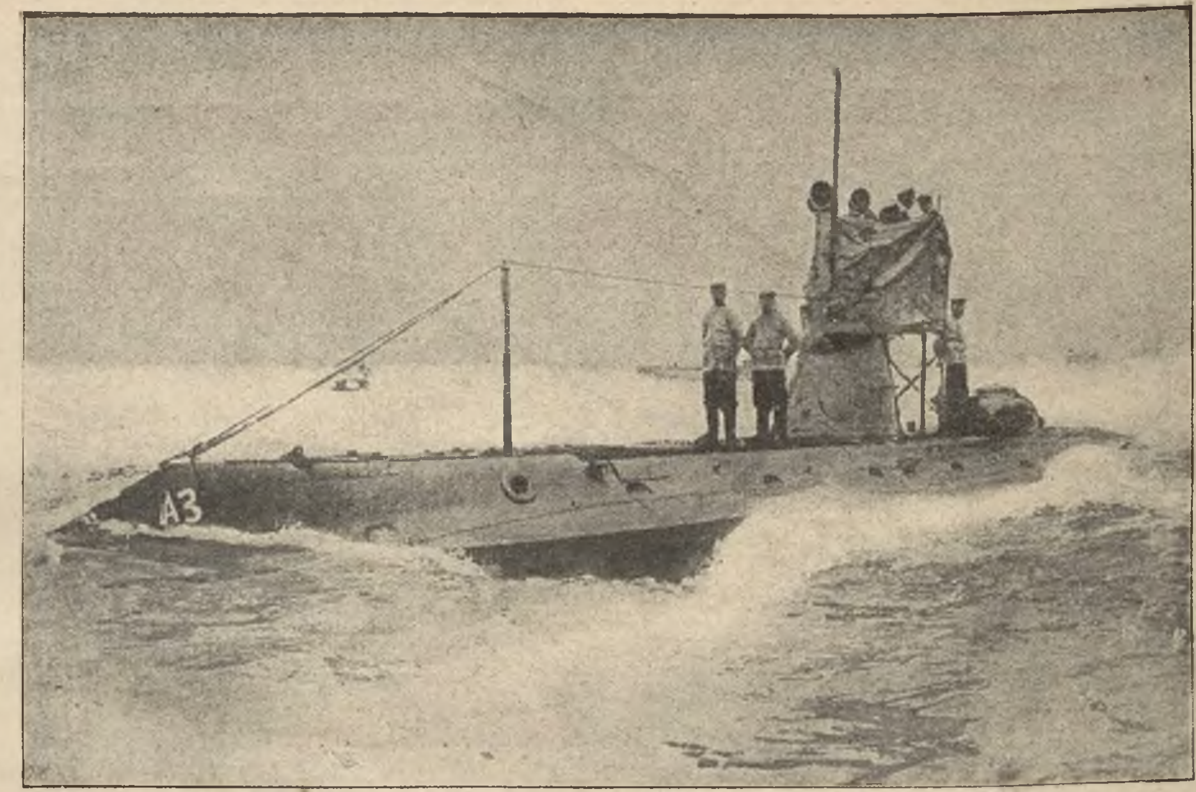
(Ciąg dalszy nastąpi).

Katastrofa łodzi podwodnej.

Współczesna technika wojenna postawiła sobie dwa cele: jeden streszcza się w haśle „podbój powietrza“ a drugi w słowach „podbój wody“. Jak z jednej strony coraz nowsze ulepszenia w dziedzinie aeronautyki zbliżają coraz bardziej chwilę, kiedy wojenne zapasy toczyć się będą w przestworzach, tak z drugiej łodzie podwodne przeniosą bitwy morskie z powierzchni w głębiny wód. Podobnie jednak jak awiatyka, tak samo żegluga morska pociąga za sobą bardzo wiele ofiar. W ubiegłym tygodniu zatonęła znowu łódź podmorska angielska „A 3“ a wraz z nią znalazło grób w zimnych falach 4 oficerów i 10 ludzi załogi.

Niedaleko wyspy Wight na wybrzeżu angielskiem odbywały się ćwiczenia łodzi podmorskich. Za cel operacyi służył stary okręt wojenny „Hasard“. Wskutek niedokładnie zrozumianego rozkazu łódź podwodna „A 3“ podjechawszy pod okręt wynurzyła się za prędko, tak, iż nastąpiło gwałtowne zderzenie. W przeciągu kilkunastu sekund woda wdarła się do wnętrza łodzi i nim zdołano pospieszyć na ratunek, pochłonęły ją fale. Z powodu silnego wiatru i wzburzonego morza dopiero na drugi dzień przedsięwzięto środki ratunkowe. Prawdopodobnie jednak cała załoga okrętu zginęła w falach.

Podobna katastrofa dotknęła w przeszłym roku marynarkę francuską.



Katastrofa łodzi podwodnej: Angielska łódź podwodna „A 3“, która zatonęła podczas ćwiczeń wojskowych



Niespokojna republika: Zaburzenia strajkowe w Lizbonie.

Illustracya nasza przedstawia łódź „A 3“ wynurzającą się z fal morskich.

Niespokojna republika.

Najmłodsza z republik, Portugalia, przechodzi bardzo burzliwe koleje. Wciąż jest widownią demonstracyi, rozruchów lub formalnej rewolucyi, urządzanej bądź przez monarchistów, bądź — dla odmiany — przez anarchistów, rzucających bomby... Nie ucichły tam jeszcze echa zbrojnego ruchu rojalistycznego, gdy w dniu 30 stycznia wstrząsnął Portugalią strejk jeneralny. który od razu przybrał formy rewolucyjne. W Lizbonie stanęły wszystkie fabryki i zakłady, przestały wychodzić dzienniki, wstrzymano również ruch tramwajów. Tłum rzucił się na tramwaje, obalał je, wreszcie zaczął atakować magazyny... Na ulicy wywiązały się utarczki z policyą, podczas których nie tylko strzelano, ale i rzucano bomby.

Podobne zajścia rozgrywały się i w innych miastach Portugalii. Republikański rząd, dla stłumienia rewolucyjnego strajku, chwycił się najsurowszych represyi. Zawiesił konstytucyę, ogłosił stan oblężenia, a na ulice wysłał wojsko, które je obsadziło i zdobyło szturmem ognisko strajku, siedzibę Związku związków robotniczych w Lizbonie... Jednocześnie urządzono obławę na anarchistów, których znaczną liczbę aresztowano.

Tak minął pierwszy dzień strajku jeneralnego, który wybuchł właśnie w przeddzień wielkiego święta, bo rocznicy ogłoszenia Portugalii republiką. Zamiast jednak uroczystych obchodów młoda republika miała w tym dniu... stan oblężenia, a po ulicach zamiast rozbawionych tłumów, snuły się patrole wojskowe...

„Ulubieniec“ Berlina.

W ostatnich czasach wielce głośną osobistością w Niemczech i za granicą stał się niemiecki następca tronu Fryderyk Wilhelm. Rozgłos zyskał sobie przez energiczne wystąpienie w parlamencie niemieckim, gdzie przysłuchując się przemowie kanclerza Rzeszy i posłów, ostentacyjnie oklaskiwał ustępy mów, skierowane przeciw polityce swego ojca. Wilhelm II., niezadowolony z tej demonstracyi, urządzonej w parlamencie przez następcę tronu, skazał go na areszt domowy w Gdańsku, ale sprawa stała się przez to jeszcze bardziej głośną. Więc, aby ratować pozory dobrego stosunku ojca i syna, Wilhelm pozwolił powrócić następcy tronu do Berlina, gdzie ten stara się zdobywać coraz większą popularność. Niedawno dał nawet publiczny dowód swej odwagi i zręczności. Kiedy przed kilku tygodniami odbywał przejażdżkę po parku cesarskim w Berlinie, spłoszyły się konie przejeżdżającego wozu. Następca tronu dopędził spłoszone konie i skoczywszy zręcznie, zatrzymał je na miejscu.

Fakty te sprawiły, że niemiecki następca tronu



„Ulubieniec“ Berlina: Tłumy witają owacyjnie niemieckiego następcę tronu, powracającego pieszo do swego pałacu.

może sięgnąć po laury „ulubieńca Berlina“. Mieszkańcy stolicy Prus dali wyraz tym swym sympatyom po wyborach. Gdy następca tronu odbywał pieszy spacer po ulicy, tłumy witały go owacyjnie.



W powrocie z „durbaru“: Defilada wojsk przed parą królewską na Malcie.

Illustracya nasza przedstawia właśnie te gorące owacye na cześć przyszłego władcy Prus...

Rosnąca popularność niemieckiego następcy tronu stanie się z pewnością nowym powodem niełaski ze strony jego ojca. Wilhelm II. także lubi ubiegać się o „popularność“, a na tem właśnie polu spotkał teraz groźnego rywala w osobie własnego, a przy tem krnąbrnego syna. Wobec tego będzie chyba zmuszony... podwoić liczbę wygłaszanych mów i mówek...

W powrocie z „durbaru“.

Niesłychany przepych uroczystości koronacyjnych w Indyach i ceremonie „durbaru“ w Delhi nie wyczerpały jeszcze całego programu podróży króla angielskiego Jerzego V. Po szeregu dni, spędzonych wśród książąt indyjskich i ciągłych uroczystości, angielska para królewska, w drodze powrotnej odwiedzała różne posiadłości angielskie. Między innemi zatrzymała się także kilka dni na Malcie, wyspie angielskiej, położonej w środku morza Śródziemnego, gdzie zgotowano jej bardzo uroczyste przyjęcie. Miało ono tem większe znaczenie, że na powitanie powracającej pary królewskiej Francya wysłała eskadrę, złożoną z trzech krążowników i dwóch torpedowców pod wodzą aemirałów Boné de Lapeyère i Moreau.

Przyjmowano więc parę królewską na Malcie uroczystościami wojskowemi i rewią floty angielskiej i francuskiej. Król Jerzy zwiedził także krążownik francuski „Danton“ i rozdał załodze jego wiele odznaczeń.

Z Malty para królewska udała się do Gibraltaru, skąd powróciła do Anglii.

Illustracye nasze przedstawiają manifestacye uroczyste na cześć pary królewskiej na Malcie.

Czerwony Półksiężyc.

Wojna włosko-turecka, choć zlokalizowana w Trypolise, co chwila zagraża spokojowi całej Europy. Tyle wzajemnych interesów wiąże różne europejskie mocarstwa między sobą, iż jakikolwiek ostrzejszy krok jednej lub drugiej strony wojującej wywołuje zaraz protesty ze strony innych mocarstw i komplikacye międzynarodowe.

Przed kilku tygodniami włoskie okręty wojenne zajęły trzy parowce francuskie, pod pozorem, że na okrętach miała się znajdować kontrabanda wojenna. Naturalnie Francya ostro przeciw temu zaprotestowała i zagroziła nawet demonstracyą floty wojennej przed portami włoskimi.

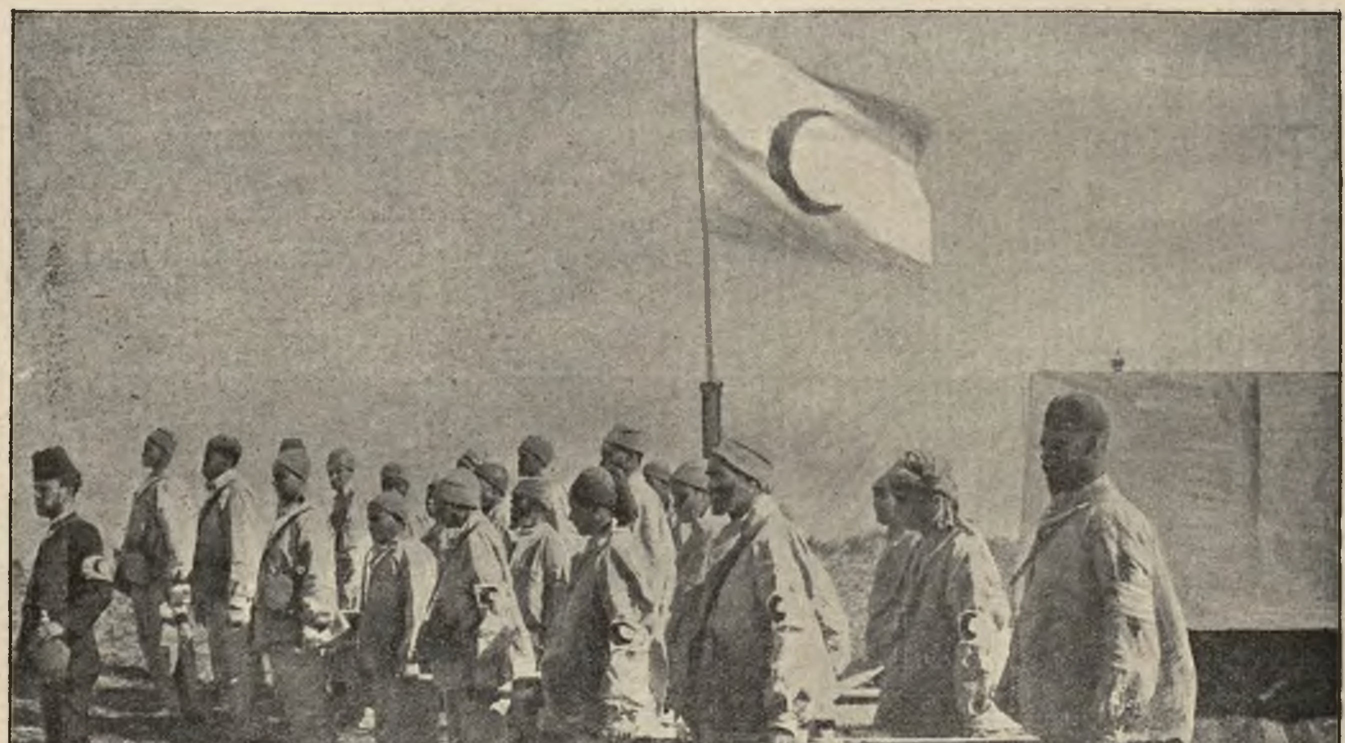
Na jednym z tych parowców, noszącym nazwę „Manouba“, rząd włoski zaaresztował 29 pasażerów, których rozpoznano jako Turków, przypuszczając, że są to oficerowie tureccy, którzy chcą się przekraść do Trypolisu. Okazało się jednak, że są to lekarze i sanitaryusze Czerwonego Półksiężyca. Aby dowodnie o tem się przekonać, odbył się w porcie włoskim Cagliari, w którym zatrzymano aresztowanych, specyalny egzamin więźniów przed komisyą lekarską. W skład jej wchodzili dwaj profesorowie uniwersytetu w Cagliari, Pinagi i Sacerdoti, oraz gen. inspektor szpitali włoskich Ravicini. Egzamin wykazał, że trzech z uwięzionych jest lekarzami, zaś ośmiu dozorcami chorych, reszta zaś zwykłymi sanitaryuszami. Ponieważ konwencye międzynarodowe zabraniają w czasie wojny aresztowania sanitaryuszów, rząd włoski wypuścił wszystkich aresztowanych na wolność, nie pozwolił im jednak udać się na pole walki.

Sprawa ta ma dla Turcyi ważne znaczenie. Podczas bowiem gdy Włosi w Trypolisie posiadają doskonale zorganizowane oddziały sanitarne, Turcy są pod tym właśnie względem w trudniejszem położeniu. Brak im lekarzy oraz odpowiedniej służby sanitarnej. Dlatego też przedostanie się do Trypolisu owych 29 sanitaryuszów, zatrzymanych przez Włochów, miało dla nich doniosłe znaczenie, zwłaszcza, że był między nimi także jeden z najzdolniejszych lekarzy tureckich, przyboczny lekarz rodziny sułtana.

Illustracye nasze przedstawiają przyjęcie wypuszczonych z niewoli 29 Turków przez władze francuskie oraz oddział sanitaryuszów tureckich na polu walki.

Dom zdrowia nauczycielstwa polskiego w Zakopanem.

Jednym z najstraszniejszych wrogów ludzkości jest gruźlica. W statystyce przyczyn śmierci choroba ta zajmuje co do liczby pierwsze miejsce, a śmiertelne jej żniwo z roku na rok wzrasta, stając się wprost klęską społeczną. Zwłaszcza niektóre zawody sprzyjają szerzeniu się gruźlicy. Należy do nich w pierwszym rzędzie zawód nauczycielski. Przeciążenie pracą przy lichem odżywianiu się sprowadza u nauczycielstwa bardzo szybko wyczerpanie sił, a co za tem idzie, zapadanie na różne choroby, przedewszystkiem zaś na gruźlicę. W tej ciężkiej doli naszego nauczycielstwa, które nie może dotychczas doczekać się poprawy swego bytu, było palącą potrzebą zorganizowanie przynajmniej pomocy dla chorych na gruźlicę nauczycieli i nauczycielek. Na szczęście znalazło się kilka zacnych jednostek, które dokonały tego dzieła i powołały do życia niezmiernie pożyteczną instytucyę. Jest nią „Dom zdrowia nauczycielstwa polskiego“ w Zakopanem przy ulicy Chramcówki l. 19, rozpoczynający z początkiem bieżącego roku jedenasty rok swego istnienia. Każdy rok w tym okresie istnienia „Domu zdrowia“ był krokiem naprzód w jego rozwoju, o czem świadczy stale rosnąca liczba kuracyuszów. Gdy w r. 1901 było ich tylko 11, to w r. 1911 było ich już 63. Znaczniejszy roz-



Czerwony Półksiężyc: Tureccy sanitaryusze na placu boju.

wój towarzystwa datuje się od r. 1907, gdy na czele instytucyi stanął serdeczny przyjaciel nauczycielstwa, znany lekarz zakopiański, dr. Edmund Brzeziński. Za jego prezesury rozszerzono „Dom zdrowia“ przez donajęcie drugiej willi. Całkowite utrzymanie w „Domu zdrowia“ kosztuje 3 K 20 h dziennie, porada lekarska 5 K miesięcznie. Wyniki kuracyi są znakomite. W ostatnim roku sprawozdawczym 1910/11 większą lub mniejszą poprawę uzyskało 87·8% kuracyuszów.

Jak świadczą te dane, „Dom zdrowia nauczycielstwa polskiego“ jest też instytucyą, odgrywającą w walce z gruźlicą wśród nauczycielstwa wielką rolę. Mimo to społeczeństwo nie spieszy jej z wydatną pomocą, chociaż wydział towarzystwa, dokładając do każdego kuracyusza 57 halerzy dziennie, z trudem tylko broni się przed deficytem. W ostatnich czasach krajowy Związek nauczycielstwa ludowego, uznając doniosłe znaczenie Sanatoryum nauczycielskiego, uchwalił, aby członkowie Związku wpisywali się na członków „Domu zdrowia“. Gdyby rzeczywiście potężna armia nauczycielska poparła akcyę towarzystwa przez wpisywanie się na członków, mogłoby ono przystąpić w niedługim czasie do budowy własnego domu i rozszerzyć swą zbawczą działalność dla dobra nauczycielstwa polskiego, nękanego gruźlicą.



„Dom zdrowia nauczycielstwa polskiego w Zakopanem“: Grupa kuracyuszów i kuracyuszek z prezesem Towarzystwa i lekarzem zakładowym dr. Edmundem Brzezińskim (X) w pośrodku.

Walka z „kamienicznikami“.

Żyjemy obecnie w epoce bezkrwawej wprawdzie, ale coraz zaciętszej wojny, która ogarnęła już całą Europę.

We wszystkich miastach walczą ze sobą dwie armie, jedna potężniejsza liczebnie, druga zato dobrze oszańcowana: lokatorzy z kamienicznikami! Powód do tej nieustającej wojny jest zresztą zupełnie zrozumiały. „Kwestya mieszkaniowa“ stanowi najczulszą stronę w budżecie każdej rodziny, która nie zdobyła się jeszcze na własną... kamieniczkę. A że nie jest to znowu rzeczą tak łatwą, więc większość stanowią paryasowie-lokatorowie, którzy nie mogąc się pogodzić z ciągłymi zwyżkami komornego, rozpoczynają coraz energiczniejszą walkę z kamienicznikami. W tym celu powołują do życia organizacye budowlane, lub też specyalne organizacye lokatorów. U nas nie rozwinęły się one jeszcze, choć stowarzyszenia lokatorów istnieją już n. p. we Lwowie i w Krakowie, zato we Francyi tworzą już potężne syndykaty.

Sekretarzem związku lokatorów w Paryżu jest p. Cochon. Miał on niedawno ostrą przeprawę ze swym kamienicznikiem, ale wyszedł z niej zwycięsko. Właściciel domu, w którym p. Cochon mieszkał, nie chciał mu odrestaurować mieszkania. P. Cochon uczynił to na własny koszt, ale potem przy wypłacie czynszu strącił sobie swe koszta. Rzecz prosta, że w odpowiedzi na to właściciel kamienicy wyrzucił go z mieszkania. P. Cochon jednak nie chciał ustąpić. Zabarykadował się i oświadczył, że da się wyprowadzić tylko siłą. Przyjaciele jego i członkowie związku dostarczali mu pożywienia przez okno. Po kilku dniach policya wzięła jego mieszkanie szturmem, wyłamując jedne drzwi po drugich. P. Cochon opuścił mieszkanie, wyprowadzony pod ręce przez stróżów bezpieczeństwa, a ofiarowanego mu przez policyę mieszkania nie przyjął.

P. Cochon jest jednak bardzo pomysłowym w obronie członków związku. Robotnik Husson, ojciec ośmiorga dzieci, został wyrzucony z mieszkania, gdyż ma za wielką rodzinę. Ponieważ nikt nie chciał mu



Czerwony Półksiężyc: Tureccy lekarze i sanitaryusze, aresztowani przez Włochów na okręcie francuskim „Manouba“ po wypuszczeniu na wolność.



W powrocie z „Durbaru“: Król angielski Jerzy V. na pokładzie okrętu francuskiego „Danton“ w porcie maltańskim.



Walka z „kamienicznikami“: Demonstracyjne mieszkanie rodziny robotniczej w Paryżu.

drugiego mieszkania wynająć, p. Cochon umyślił wybudować mu dom przenośny, drewniany, w ogrodzie tuileryjskim. Policya nie dopuściła do tego, natomiast znalazł się chętny właściciel kawałka ogrodu, który ofiarował plac pod to oryginalne mieszkanie. W dwie godziny dom był gotów, a p. Cochon umieścił na nim napis: „Dom z ogrodem, ofiarowany przez związek lokatorów rodzinie z dziesięciu osób, pozbawionej mieszkania przez kamieniczników paryskich, a opuszczonej przez władze i dobroczynność publiczną“.

Dom p. Hussona, ozdobiony tym napisem, przedstawia właśnie nasza illustracya.

Dzięki tym energicznym wystąpieniom stał się pan Cochon popularną osobistością w Paryżu, a znalazł się nawet na tyle oryginalny właściciel, że ofiarował mu mieszkanie... za darmo. Swiadczy to znów, że nie wszyscy kamienicznicy są bez serca...

O powszechne głosowanie do Sejmu.

Przewlekające stę narady nad przeprowadzeniem reformy wyborczej do Sejmu galicyjskiego zaczynają w całym kraju wywoływać zaniepokojenie i pewne zdenerwowanie. Od trzech lat sprawa ta właściwie powinna być załatwiona, tymczasem na razie nie ma żadnych widoków, aby istotnie do reformy prawa wyborczego na seryo się zabrano — czemu zresztą stoi na przeszkodzie nieprzejednane stanowisko ruskich obstrukcyonistów. W szeregu tych żywiołów, które walczą energicznie o zaprowadzenie powszechnego prawa wyborczego, stoi także partya socyalistyczna galicyjska i to zarówno polska jak i ruska, która po raz drugi urządziła w ubiegłą niedzielę olbrzymią manifestacyę we Lwowie przed Sejmem za powszechnem głosowaniem.

Do prezydyów klubów ruskich i polskich udała się deputacya złożona z 30 osób, prowadzona przez posłów parlamentarnych socyalistycznych. Następnie przedstawiła deputacya swe życzenia także marszałkowi kraj hr. Badeniemu.

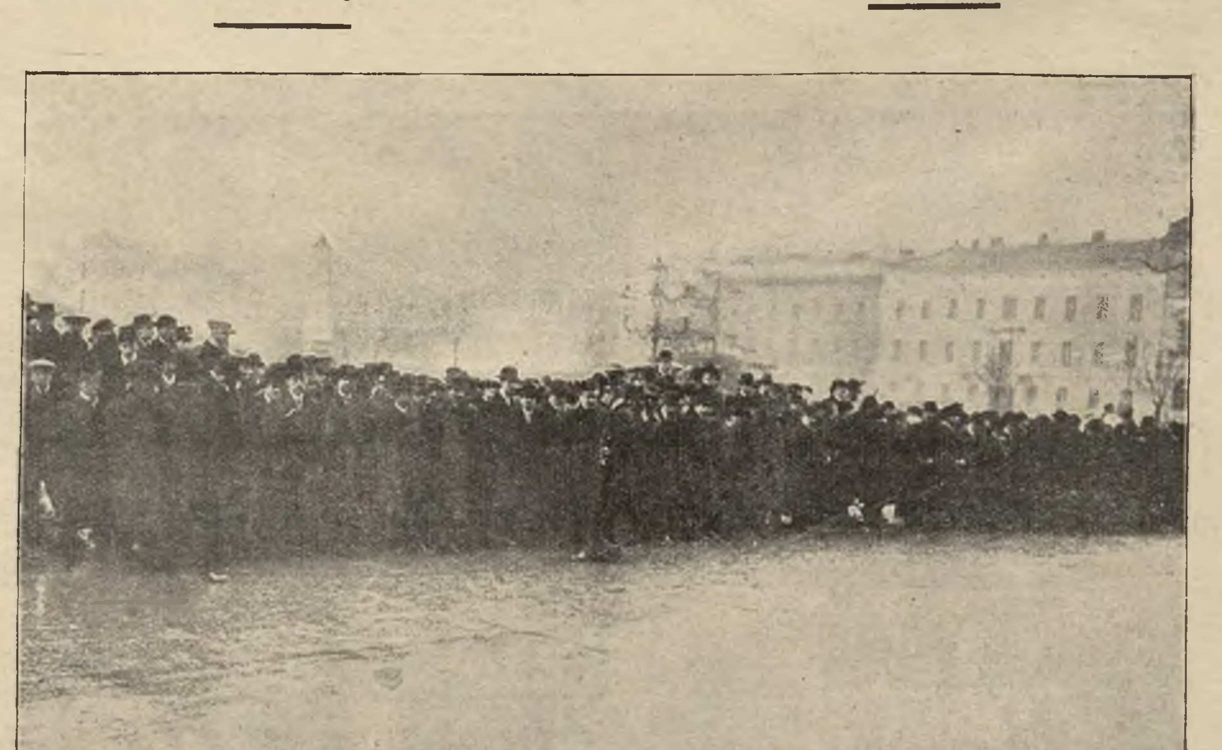
Odpowiedź marszałka, który życzenia przedłożone przez deputacyę obiecał przedstawić komisyi reformy wyborczej, posłowie ogłosili zebranym przed gmachem sejmowym tłumom, poczem manifestanci w pochodzie udali się pod pomnik Mickiewicza na ul. Karola Ludwika, gdzie zakończono manifestacyę zgromadzeniem pod gołem niebem.

Podczas przyjęcia deputacyi w Sejmie imieniem polskiej socyalnej demokracyi przemawiał pos. Daszyński, imieniem ruskiej pos. Wityk. Zarówno przywódcy stronnictw, jak i Marszałek odpowiedzieli na te przemówienia zapewnieniem, iż dołożą wszelkich starań, aby dzieło sejmowej reformy wyborczej doprowadzić do końca.

Illustracye nasze przedstawiają członków deputacyi oraz tłum manifestantów pod Sejmem.



O powszechne głosowanie do Sejmu: Deputacya socyalistyczna, wychodząca z gmachu sejmowego we Lwowie. W środku p. Diamand.



O powszechne głosowanie do Sejmu: Demonstracya socyalistyczna przed Sejmem we Lwowie.

Nowy dyrektor „Lutni“ krakowskiej.

Sympatyczne towarzystwo śpiewackie w Krakowie „Lutnia“, na dorocznem walnem zgromadzeniu członków wybrało po rezygnacyi dyr. A. Steibelta jednogłośnie jego następcą p. Władysława Lewickiego, byłego artystę opery.

Wybór ten należy uważać za bardzo szczęśliwy, gdyż p. Lewicki nie jest nowicyuszem w prowadzeniu chórów, lecz ma już za sobą długą i zasłużoną w tym kierunku przeszłość. Przez szereg lat prowadził we Lwowie chór dominikański (mieszany) przy akompaniamencie organowym ś. p. dra Władysława Bogdańskiego, znanego profesora śpiewu i muzyka, następnie w r. 1900 prowadził w Tow. muzycznem w Warszawie oddział chóru męskiego studentów politechniki „Pieśń“, w zastępstwie ś. p. Noskowskiego, zyskując za swą pracę ogólne uznanie. Jeżeli do tego dodamy niezwykłą kulturę śpiewaczą, jakiej p. Lewicki nabył, bawiąc przez szereg lat poza granicami kraju na studyach u pierwszorzędnych mistrzów sztuki śpiewu (gdyż jedynie trema na scenie nie pozwoliła mu wyzyskać wspaniałego tenoru), to nie ulega wątpliwości, że jako dyrygent chóru męskiego posiada doskonałe kwalifikacye, bo ma oprócz muzykalności jeszcze i znajomość techniki głosowej. To też wydział „Lutni“ powierzył nowemu dyrektowi prowadzenie szkoły, której celem jest budzenie zamiłowania do muzyki i krzewienie sztuki śpiewu.



O powszechne głosowanie do sejmu: Deputacya socyalistyczna z posłem Daszyńskim na czele, po opuszczeniu gmachu sejmowego we Lwowie.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

23)

Czyż mogłem teraz wyznać mu prawdę? Czy podobna było, abym ja, jego przyjaciel wierny, w wieniec wawrzynowy, którym zdawał się już opasywać czoło, wplatał kolące ciernie?

— On pierwszy przerwał milczenie.

— Kasprze! — zawołał — czy widziałeś i słyszałeś kiedy coś podobnego? Czy można jej nie uwielbiać? Gdyby nie ona, wygwizdanoby „Franceskę". Wiem o tem... Stwierdziłem to na przedstawieniu... A teraz mogę zostać sławnym... oho, sławnym! — ciągnął dalej, mówiąc raczej do siebie, niż do mnie. — Trzy miesiące temu oddałbym ostatnią kroplę krwi mojej, ażeby dosięgnąć szczytu sławy, a teraz, bez Klaryssy, sława wydawałaby mi się szyderstwem okrutnem. Czy sądzisz, że mogę mieć nadzieję... choćby tylko cień nadziei?

Co byłem w stanie na to odpowiedzieć?

Mgła zatamowała mi oddech w chwili, gdy usiłowałem wymruczeć jakieś słowa bez znaczenia i związku, a Tom, fałszywie tłómacząc sobie moje milczenie, wziął je za wyrok, odsądzający go od prawa do zdobycia wymarzonega szczęścia.

— Nie wierzysz?... Ma się rozumieć, że nie wierzysz w możliwość jakiejkolwiekbądź nadziei... i masz zupełna słuszność. Sukces mnie odurzył i upoił. Nie przywykłem do tak mocnego napoju!

Roześmiał się bolesnym śmiechem.

Poczem, zmieniając nagle humor, zdjął mi kapelusz i włożył swój na moją głowę.

— Zamienimy się na role — rzekł — na wzór Falstaffa i księcia Henryka, a ja przeczytam ci mowę, o próżności żądz ludzkich. Albo nie, zagraj mnie, ja zaś grać będę mego stryjaszka... mego biednego, poczciwego stryjaszka, a twego wuja. No, słuchaj, Kasprze, grać musisz!

— Dobrze. Jestem gotów — odpowiedziałem, żeby uczynić zadość jego żądaniu, uspokoić i oderwać od dręczącej go myśli.

— Brawo, znam cię ptaszku! Jesteś tak zwany Tomasz Loveday, nędzny autorzyna, marny literat!... I ty ośmielasz się podnieść oczy na istotę, której książęta przysyłają bukiety cudnych kwiatów? Jesteś smutnym Endymionem. Dmiesz nieudolnie w trzcinową, kruchą piszczałkę i chciałbyś wrzaskliwemi jej tonami zmusić królowę, aby ci oddała swoje serce. Hańba ci za tak potworne szaleństwo!

W głosie jego, pomimo całej sztucznej wesołości, dźwięczało pełne rozpaczy szyderstwo. Słuchając go, czułem jak mi się serce rozdziera.

— Patrz-no, patrz! sukces pomieszał ci zmysły. Jesteś uosobieniem próżności bezwzględnej, i zarozumienia bez miary, i pychy bez granic. Tak, biedny szaleńcze, jesteś istnym Pigmalionem, nie zadawalniającym się miłością swego utworu. Czy potrzeba ci było zakochać się w bóstwie, które wlało życie w twoje martwe dzieło? Nie do Galatei wzdychałeś waryacie, lecz do Afrodyty! Nie do Franczeski, lecz do... Ach!

Co się stało?

Ujrzałem jakiś kształt, wyłaniający się jakby z pod stóp naszych — i Tomasza, który ręką chwycił się za piersi. Usłyszałem głuche uderzenie i przekleństwo, przez kogoś wygłoszone... i coś, jak krótkotrwały blask słabej błyskawicy, a gdy chciałem poskoczyć naprzód, Tomasz z tłumionym jękiem zwalił się w moje ramiona.

Chwila jedna... i wszystko to stało się nagle.

Gdy zaś objąłem ciało przyjaciela, aby go podtrzymać, a pomimo ciemności dostrzegłem na licu jego śmiertelną bladość... ujrzałem również... ujrzałem, bez żadnej wątpliwości, w ciągu jednego mgnienia oka... ujrzałem z pośród gęstej mgły wychylającą się twarz, dobrze mi znaną... którą wyróżniłbym między tysiącami innych... którą widzę ciągle we śnie i na jawie... której nie zapomnę, dopóki zgon nie pozbawi oczu moich wzroku, a mózg pamięci... twarz Szymona Collivera.

Zanim zdołałem rzucić się za nim, zanim nawet zdołałem krzyknąć, wzywając pomocy... twarz jego rozpłynęła się w ciemnościach... i znikła.

ROZDZIAŁ VII.

W jaki sposób Klara wstąpiła do teatru i kiedy ujrzała klamrę złotą.

Tom pasował się ze śmiercią.

Zeznań jego, odnoszących się do napadu, wysłuchała i spisała władza śledcza, on zaś je podpisał drżącą ręką. Przywołany lekarz zawyrokował, że niema dlań ratunku. Spoczywał więc na łóżku, gotując się do ostatniej walki, świadom, że musi skończyć się przegraną.

Sztylet o cal jeden ominął serce, lecz wewnętrzny krwotok zabijał go powoli. Wiedział, że nadzieja utrzymania go przy życiu stracona, a chociaż nie znał powodu podłego napadu, zadawał mi mało pytań. Z właściwą sobie dawną, dziecinną powagą, godził się z losem. Oczy jego, ile razy zwróciły się na mnie, wyrażały szczere, latami utrwalone, serdeczne przywiązanie.

Po urzędowem zeznaniu bezmyślnie może wymówił jej imię. Więc napisałem zaraz do Klary bilecik, o następującej treści: „Tomasz umiera, pragnie pomówić z tobą".

Czekaliśmy na nią.

Siedziałem przy łóżku, trzymając w dłoniach moich rękę przyjaciela, sam pogrążony w myślach zbyt smutnych.

Wiedziałem, że Tom został ugodzony ciosem dla mnie przeznaczonym i że napad ostatni, równie jak poprzedni, po wyjściu z domu gry, pozostawały w związku z historyą Wielkiego Rubinu i klamry złotej. Jakąby nie była tajemnica, odnosząca się do niej, żółta kobieta znać ją musiała. To ona prawdopodobnie uzbroiła w sztylet morderczy rękę Szymona Collivera. Przeklinałem z wściekłością lekkomyślnie wymówione przezemnie słowa w teatrze. Nie miały wprawdzie, jak mi się zdawało, żadnego głębszego znaczenia, lecz właśnie może sprawiły, że druh mój serdeczny padł ich ofiarą. Zamiana kapeluszy wywołała według wszelkiego prawdopodobieństwa pomyłkę Collivera, więc, prócz owych paru wyrazów, wyrzeczonych nieoględnie w loży, nie miałem sobie nic do wyrzucenia. A jednak pociechy w tem przekonaniu znaleźć nie mogłem. Nie on, lecz ja powinienem był zginąć. Dał życie za przyjaciela, który mu już przedtem zabrał ukochaną. Fałszywym zatem byłem i złym przyjacielem!

Przejęty straszną zgryzotą, chciałem moją rękę wysunąć z jego ręki, lecz wstrzymał mnie słaby uścisk i spojrzenie pełne wyrzutu. Więc dalej siedziałem przy nim. Oba rachowaliśmy upływające minuty, które oddzielały nas od chwili, w której Klara przybędzie... albo od śmierci.

Ktoś do drzwi zapukał.

Tom posłyszał pukanie. W oczach jego błysnęła iskierka niewymownej radości. W odpowiedzi na to spojrzenie, położyłem delikatnie jego rękę na pościeli i poszedłem naprzeciw Klary.

— Dziękuję ci za tak spieszne przybycie! — wyszeptałem, witając ją w przedpokoju.

— Umiera?!... Co się stało?

— Napad morderczy. Wczoraj wieczorem, gdy wyszliśmy z teatru, przebity został sztyletem przez nikczemnego zbrodniarza.

W wzroku jej malowało się pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej, lecz zadowoliła się jednem zapytaniem.

— Czy chciał mnie widzieć?

— Tak się zdaje... Nawet pewny jestem, że pragnie gorąco. Och, Klaro! mówiły to jego oczy, gdy posłyszał, że pukasz. Wszak wiesz dlaczego?...

Z powagą skinęła głową, szepcząc po cichu:

— Tak.

Po chwili namysłu rzekła:

— Przypuszczam, że lepiej nic nie mówić o...

— Tak — odpowiedziałem — stokroć lepiej. Jeśli za grobem jest świadomość o rzeczach ludzkich, to wkrótce dowie się o wszystkiem.

Klara czas jakiś milczała.

— Tak, tak będzie lepiej — powiedziała wkońcu — Zaprowadź mnie do niego.

W chwili, gdy Klara zbliżała się do łóżka, usunąłem się nieco na bok, aby nie spotkać się z wzrokiem Tomasza. Widziałem, jak ją powitały jego oczy, płonące miłością i wdzięcznością, poczem zamknęły się powoli, jakby olśnione wizyą szczęścia.

Z tkliwą czułością pochyliła się nad nim Klara, ujmując rękę jego bezsilną. Twarz jej wyrażała szczere współczucie.

— Więc odwiedziłaś mnie, pani?! — rzekł umierający. — Niech cię za to Bóg błogosławi!

— Och, panie... nie uwierzysz, jak jestem zmartwiona.

— Widziałem Kaspra, piszącego do pani, więc domyśliłem się, że cię tu wzywa... lecz nie śmiałem cieszyć się nadzieją. Jestem... mocno osłabiony... i może zaraz odejdę z tego świata... a może wkrótce...

W odpowiedzi łza litości spadła na jego wybladłą rękę.

— Nie płacz, pani... Nie mógłbym znieść widoku twoich łez... To, co się stało, stało się dobrze. Miałem szalone nadzieje i szaleńsze jeszcze marzenia... lecz nie urzeczywistniłbym ich prawdopodobnie nigdy... nigdy. Teraz wiem, że z losem i przeznaczeniem borykać się już nie będę... Tak lepiej... lepiej!

Minutę lub dwie poruszały się jego wargi, nie słychać jednak było, co mówił, czy co chciał powiedzieć.

Po chwili odpoczynku, rzekł z drżącym głosem:

— To tak pięknie ze strony pani... że tu przybyłaś... Bałem się... bałem... lecz jesteś dobra... o! bardzo dobra. Ty, pani, sprawiłaś wczoraj, że sztuka moja nie upadła... chociaż, dopóki nie ukazałaś się na scenie, chyliła się do upadku... Jednakże nie możesz... nie możesz mnie uchronić od śmierci...

Smutny uśmiech prześliznął się po jego ustach.

— Tak lepiej, bo teraz mówić mogę i wybłagać przebaczenie. Czy pani wie dlaczego ujrzeć ją pragnąłem? Chciałem ci powiedzieć... przed śmiercią... Nie gniewaj się na mnie, ja wkrótce umrę... a umierającemu darować należy wszelką obrazę... więc jeśli wyznam, co mi leży na sercu... to mi przebacz, Klarysso... i miej litość nademną...

Podniosł w górę błagające oczy i zrozumiał, że może mówić śmiało.

— Ja panią kochałem... tak, kochałem. Czy mi to możesz przebaczyć?... Wszakże teraz gniewać się nie będziesz..! Byłem szalony... szalony... bo kochałem! Kasprze, chodź tutaj!

Zbliżyłem się do łóżka.

— Powiedz jej, że ją kochałem... i proś o przebaczenie dla mnie. Powiedz, że kochałem bez nadziei... Powiedz jej to, Kasprze!

Nie mogąc znieść widoku jego oczu, błyszczących bezgraniczną ufnością, wyczerpany z sił ciężkiem zmartwieniem, stałem nieruchomy, nie mogąc przemówić ani jednego słowa.

— Kasper jest zanadto wzruszony... aby mógł mówić. Powie pani później. I on także kocha... Nie widziałem nigdy jego narzeczonej... Mam nadzieję, że szczęśliwszy będzie odemnie... Przebacz mi, pani moją szczerość... i nie dziw się jej, serce moje bowiem radość przepełnia... wielka... wielka radość...

Po krótkiem milczeniu szeptał dalej:

— Pani nie zna Kaspra... On widział cię wczoraj i zachwycał się tobą.. Któżby mógł nie zachwycać się panią?!... Mam nadzieję, że przez pamięć na mnie, będziecie przyjaciółmi... Kasper jest moim jedynym przyjacielem...

Szary cień padł na białą twarz Tomasza — cień śmierci.

Tom zbliżanie się jej odczuć musiał, bo nagle podniósł się i oparty na łokciu, głośno niemal zawołał:

— Ach, jaki ja jestem samolub!... Czekają na panią w teatrze, więc idź już... idź... Wiem, że jak zawsze, grać będziesz cudnie... Jeśli nie możesz mi przebaczyć, to przynajmniej zapomnij, co powiedziałem...

— Och, dlaczego pan tak źle myśli o mnie?

— Więc przebaczasz?!... Niechże cię Bóg za to błogosławi... niech cię Bóg błogosławi... Gdy tak... to błagam cię jeszcze o jedną łaskę... której mi, w swej nieskończonej dobroci, nie odmawiaj. Złóż na mych ustach pocałunek siostrzany... jeden tylko... umrę po nim szczęśliwszy. Czy chcesz... czy możesz...?

Oczy jego, pełne niegdyś uśmiechów, przykrywała śmierć kirem posępnym, a jednak wyczytać w nich można było prośbę namiętną.

Ukochana moja, z całą właściwą sobie powagą, pochyliła się nad nim i usta jej na sekundę spoczęły na jego ustach. Poczem, trzymając go wciąż za rękę, uklękła przy łóżku.

— Dzięki... dzięki... nie zabraniasz mi kochać... kocham... odchodzę w szczęściu... czekają na panią w teatrze...

Klara podniosła się z klęczek i stojąc, słuchała ostatnich wyrazów, wyrywających mu się z piersi z cichym jękiem:

— Czekają na panią... czekają... Kasprze, mój stary druhu... żegnam cię... i ciebie Klarysso żegnam także... Tam na panią czekają... ja nie przyjdę... przyjść nie mogę... Klarys...

Klara pochyliła się znowu nad nim i po raz wtóry stygnących ust jego dotknęła własnemi ustami. W pokoju zaległa głucha cisza.

Twarz Tomasza, wypogodzona spokojem śmierci, chociaż już nie żył, promieniała jeszcze wyrazem ekstazy miłosnej.

. . . .

Tegoż dnia „Franceska“ graną była poraz drugi. Dzienniki doniosły nazajutrz w swych sprawozdaniach teatralnych, że wykonano ją wybornie, a słuchacze przyjmowali sztukę z większym jeszcze zapałem i uznaniem, niż na premierze.

W czasie przedstawienia rozniosła się wieść, że młody autor pięknej tragedyi zmarł nagle. Jedni utrzymywali, że gdy wychodził z teatru, zabity został przez rywala; inni twierdzili, że pozbawiono go życia złośliwą trucizną indyjską. Nikomu jednak nie była znana istotna prawda.

W miarę, jak Klara, scena po scenie, z głębokiem przejęciem się dramatycznością roli, uwydatniała coraz subtelniej i coraz wspanialej zalety utworu, entuzyazm publiczności wzrastał, zapewniając sztuce sukces nadzwyczajny.

Wówczas ja klęczałem przy łożu mego zamordowanego przyjaciela...

. . . .

Upłynął tydzień.

Spotkałem Klarę na cmentarzu, przy grobie Tomasza.

Widzieliśmy się wprzódy — jak już opowiedziałem — przy łożu konającego Toma, a w czasie jego pogrzebu rozmawialiśmy nawet z sobą, ciążył jednak nad naszą rozmową pewien przymus. Ja, wyobrażałem sobie poniekąd, że byłem sprawcą nieszczęśliwego zgonu mego druha, a Klara wolała nie zgłębiać tajemniczej przyczyny mego smutku.

Sądowa decyzya o krwawym fakcie brzmiała, jak następuje: „morderstwo, dokonane przez nieznanego zabójcę“. Policya prowadziła dalsze śledztwo na zasadzie informacyi, przezemnie udzielonych. Wszystkie dzienniki podały kradzież, jako główny powód mordu, opierając swoje twierdzenie na tem, że należący do Tomasza łańcuch od zegarka zniknął w czasie napadu. Ja jeden tylko wiedziałem na pewno, dlaczego Colliver wyrwał mu go z kieszonki od kamizelki i — względnie do rozpaczliwego położenia, w jakiem się znajdowałem — pocieszałem się myślą, że zbrodniarz musi być mocno rozczarowany, gdy się uważnie przyjrzał zdobytemu łupowi. Opisałem policyi, jak mogłem najszczegółowiej, tak twarz, jak i całą postawę mordercy, zwracając nawet baczenie na identyczność jego z majtkiem, Giorgo Rudofani, poszukiwanym oddawna. Zapewniono mnie, że łotr schwytany będzie wkrótce. O tem wszystkiem, co wyżej, publiczność jednak nie wiedziała. Jedynym zaś rezultatem zbrodni, ogłoszonej w dziennikach, było przepełnienie sali teatru Kolloseum na każdem przedstawieniu sztuki zmarłego.

Gdy popołudniu wszedłem na cmentarz, tonący w zmroku wieczoru, ujrzałem przy świeżej mogile postać kobiety, czarno ubranej, a gdy się zbliżyłem, poznałem w niej Klarę. Parę minut staliśmy naprzeciw siebie, milcząc oboje.

Na grobie leżał wieniec z nieśmiertelników.

Myślą dziękowałem mojej ukochanej za ten dowód pamięci o Tomaszu, przemówić jednak nie mogłem. Zdawało mi się, jakby widok rozdzielającej nas mogiły, zamykał nam usta.

O! gdybym mógł odgadnąć prawdę, byłbym się dowiedział, że pod wzniesieniem z darni, liczyć mogącem zaledwie pięć do sześciu stóp długości i paru szerokości, rozciągała się niewidzialna, nieznana mi, nawet przezemnie niepodejrzewana przepaść, której już nie przejdziemy razem. Między mną a Klarą leżał trup przyjaciela... i nietylko jego niestety, lecz również wielu innych nieboszczyków, których nieme i martwe usta przeklinały miłość naszą!

Klara podniosła głowę nareszcie i przemówiła.

— Kasprze, zawiniłam względem ciebie bardzo. Zaledwie śmiem prosić cię o przebaczenie. Za późno już błagać o nie zmarłego, lecz gdyby mógł mnie teraz usłyszeć, zaklęłabym go na wszystko, co miał najświętszego, aby mi przebaczył szaleństwo, które do tak okrutnej doprowadziło pomyłki.

— Nie mogłaś wiedzieć przecie... Niepodobieństwem było odgadnąć...

— Prawda, lecz fakt nie przestał przez to być bolesnym. Ciebie zaś oszukałam. Czy zdołasz mi przebaczyć?

— Przebaczyć! Co przebaczyć? Ach, Klaro! doprawdy nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć!

— Wprawdzie chwilowo posiadam to, co ludzie zowią sławą, lecz cóż to znaczy? Oszukałam cię jednakże. Wierz mi przecież, że nie powiedziałam czem jestem, tylko z myślą sprawienia ci w danej chwili większej niespodzianki. Chciałam następnie... lecz już było zapóźno! Bądź jednak przekonany, że nie miałam innego zamiaru, ani innego pragnienia. Mój plan wydał mi się z początku bardzo niewinny i nie grożący żadnem niebezpieczeństwem ani tobie, ani mnie, dopiero po upływie pewnego czasu zaczęłam o tem wątpić. Lecz aż do dnia, gdy tam, nad brzegiem rzeki, zacząłeś o nim mówić ze mną, niczego się nie domyślałam. Och! chciej mi wierzyć, nie domyślałam się niczego!

— Najdroższa moja, nie oskarżaj się, proszę. Cierpię bardzo, gdy słyszę cię mówiącą w ten sposób. Jeśli ktokolwiek z nas był winien, to chyba ja jedynie, lecz usprawiedliwiam się w przekonaniu własnem, myśląc, że oślepiło mnie przeznaczenie.



Ujrzałem przy świeżej mogile postać kobiety czarno ubranej.

Gdybyś tak dobrze, jak ja, znała Tomasza, wiedziałabyś niezawodnie, że słuchając nas, przebaczyłby nam obojgu. Lecz Klaro, co ja ci mam przebaczyć?

Nie odpowiedziała mi natychmiast. Na twarzy jej malowało się pomieszanie, jakby miała coś jeszcze do powiedzenia, czego wyznać nie ma odwagi.

— Kasprze, zawiniłam czemś bardziej wobec ciebie... a jeśli możesz, pragnęłabym, abyś mi przebaczył...

— Ależ moja ukochana...

— Czy przypominasz sobie, o co cię pytałam, gdy po raz pierwszy mówiliśmy o nim?

— Zadałaś mi, o ile pamiętam, wprost śmieszne pytanie: czy mógłbym kiedykolwiek przestać cię kochać?

— To nie było śmieszne pytanie. Zastanawiałam się nad niem poważnie, a gdyś mi odpowiedział, uwierzyłam i oddałam ci się sercem całem. Czy czujesz, że jesteś równie dobrze usposobiony, jak wówczas? Chciej mi wierzyć, że nie lekkomyślnie pytam cię o to.

— Odpowiem, jak odpowiedziałem już raz poprzednio: miłość jest tak mocną, jak śmierć. Najdroższa moja, zbądź się przykrych, udręczających cię myśli i bądź pewną, że cię kocham więcej od życia.

— Może jednak oburzyłbyś się, gdybyś się przekonał, że... Och, Kasprze, mówić nie mogę!

— Powiedz, powiedz wszystko, Klaro!

— Wiesz odemnie, że się zowię Klara. Czy jednak nie zdziwiło cię, gdy się dowiedziałeś, że mam drugie imie i drugie nazwisko, Klaryssy Lambert?

— Więc o to chodzi! — zawołałem. — Mówię ci szczerze, że nie zdziwiłem się wcale, wiem bowiem oddawna, że aktorki przybierają bardzo często pseudonimy, pod którymi występują na scenie. Cieszyłem się tem nawet, bo nazwisko twoje nieznane ogółowi, stawało mi się tem droższem, o ile mnie tylko było znane. Wszyscy wielbią Klaryssę Lambert, lecz ja jeden kocham Klarę Lutwell i wiem, że jestem przez Klarę Lutwell kochany.

— To jeszcze nie wszystko — ciągnęła dalej, a pomieszanie, malujące się jej w oczach, wzrastało ciągle. — Och! nie możesz zdać sobie sprawy, jaką mi przykrość sprawia wyznanie całej prawdy!... Mówiąc z tobą wówczas, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali, nie troszczyłam się o nic, bo nie przypuszczałam, że się mną zajmiesz. Nawet, gdy cię przedstawiałam matce, nie śniło mi się jeszcze, abyś mógł mnie pokochać i pragnął pojąć za żonę, więc bez zastanowienia powiedziałam ci, że się zowię Luttwell...

— Luttwell zatem nie jest nazwiskiem twojej matki? — zapytałem z niepokojem.

— Tak wszyscy ją zowią teraz w małem, najbliższem nawet otoczeniu... mnie zaś Klarą. W rzeczy samej, jest to jedno z moich imion chrzestnych. Lecz mam inne... i powinnabym ci je powiedzieć...

— Najdroższa, poznałem cię jako Klarę i jako Klarę kochać będę zawsze. Co mnie obchodzić może, że znaną jesteś powszechnie pod przybranem nazwiskiem? Mam przecież nadzieję, że wkrótce zmienisz je na moje...

Słowa, wyrzeczone przezemnie z głębokiem przekonaniem, nie rozpogodziły jednakże jej oczu.

— Nie nazywam się Lambert. Lambert to tylko moje teatralne miano... lecz nie nazywam się również Luttwell. Jest to bardzo smutna historya, którą muszę ci opowiedzieć nareszcie i położyć koniec nieporozumieniu, które mnie zabija. Oddawna uczynić to chciałam, lecz ostatecznie czekałam na wieczór, w którym miałeś mnie ujrzeć na scenie. Pragnęłam naraz wyznać ci wszystko, co mnie dotyczy, nie wiedząc, że on... Okoliczności złożyły się tak fatalnie, że nie mogłam, nie zdołałam... Kasprze ukochany, wiem, że ulitujesz się nad moją biedną mateczką, chociaż mimowolnie w błąd cię wprowadziła. Była taka nieszczęśliwa i tak bardzo mnie kocha! Sam osądzisz, gdy ci wszystko opowiem. Nosi nazwisko Luttwell, żeby uniknąć prześladowań, żeby wyrwać się z pod władzy człowieka, który jest...

— Nędznikiem. Nie wątpię o tem.

— Nędznikiem, tak... a może czemś gorszem! Jest jej mężem, lecz nie moim ojcem... jest jej drugim mężem. Mój ojciec umarł, gdy byłam jeszcze dzieckiem, ona zaś powtórnie wyszła za mąż. W związku z nim czuła się ciągle najnieszczęśliwszą. Przypominam sobie doskonale bolesny wyraz jej twarzy, gdy poznała niegodziwy charakter tego człowieka. Lata całe cierpiała... bawiliśmy bowiem wówczas zagranicą... Nie mogąc wreszcie znieść dłużej srogiej męczarni, uciekła, powróciła wraz ze mną do Anglii. Przypuszczam... nie jestem jednak tego pewną... że mąż jej nie śmiał natychmiast udać się za nią, tu bowiem prawdopodobnie popełnił jakąś zbrodnię. Domyślałam się, że tak być musi, nie śmiałam się jednak pytać mamy o szczere wyjaśnienie mi prawdy. Raz tylko jeden to uczyniłam... i nie zapomnę nigdy strasznego przerażenia, jakie odmalowało się nagle w jej oczach. Więc podejrzewam, że jakiś bardzo ważny powód, nie pozwala mu wrócić do ojczyzny... Pamiętam, że zupełnie niespodzianie wyruszyłyśmy w drogę do Anglii, prawie natychmiast po pewnym wieczorze, w ciągu którego mama się przekonała, że została niecnie oszukaną...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Abdykacya Mandżurów.

Dynastya mandżurska po długich wahaniach i pertraktacyach zdecydowała się wreszcie ustąpić. W dniu 14 b. m. ogłoszono w Pekinie edykt cesarski o abdykacyi dynastyi i przekształceniu Chin na republikę... W ten sposób najstarsze na świecie cesarstwo chińskie otrzymało republikańską formę rządu i to w sposób zgoła niezwykły, bo zaprowadzoną legalnym aktem władzy cesarskiej, który zawiadamia wicekrólów i gubernatorów, że „tron rezygnuje z władzy politycznej, aby uczynić zadość życzeniom ludu".

Naturalnie dynastya mandżurska „uczyniła zadość życzeniom ludu" po krwawych próbach stłumienia rewolucyi, ale nie zmienia to faktu, że tak olbrzymi, niebywały w dziejach przewrót, jak przekształcenie Chin na republikę — został ostatecznie dokonany przy współudziale władzy cesarskiej.

Na mocy układu zawartego pomiędzy dworem a przedstawicielami rewolucyonistów, cesarz chiński zachowuje tytuł (a także i wysokie apanaże) zrzeka się tylko władzy politycznej, która przechodzi w ręce wybranego prezydenta.

Chiny wchodzą zatem w nowy okres swego rozwoju — wymagający zreformowania do gruntu podstaw bytu tego olbrzymiego państwa. Nowych jego sterników czeka długa i mozolna praca, gdyż rządy Mandżurów a następnie okres rewolucyjny pogrążyły Chiny w odmęcie anarchii i nędzy. Grasują tam całe armie rozbójników, których stałem rzemiosłem są napady i grabieże...

Na illustracyi naszej widzimy kilku takich rabusiów, schwytanych i prowadzonych ze związanemi warkoczami w dzielnicy europejskiej Pekinu.



Abdykacya Mandżurów: Powiązani za warkocze chińscy rozbójnicy w dzielnicy europejskiej Pekina.

Sport zimowy w Zakopanem.

Urocze Tatry pokryte białym całunem śniegu stały się obecnie środowiskiem, gdzie co niedziela i święto ciągną z Krakowa tłumy sportowców obojga płci, aby używać swobody na szerokich przestrzeniach, pokrytych śniegiem. Wprawdzie droga to trochę daleka, ale trudy jej opłacają się sowicie, gdyż w nagrodę przynoszą kilka chwil mile spędzonych wśród przecudnego krajobrazu. Zwłaszcza dla narciarzy Zakopane stało się jakgdyby Mekką, gdzie skupiają się wszyscy miłośnicy tego zdrowego i pięknego sportu. Wielkie zasługi celem należytego zorganizowania u nas tego sportu położyło Tatrzańskie Tow. Narciarzy, które co chwila daje dowody swej żywotności.



Sport zimowy w Zakopanem: Grupa oficerów z kursu narciarskiego.

Młode, zaledwie rok samodzielnie istniejące, rozwinęło się nader szybko i liczy już kilkuset członków-narciarzy, co jest dowodem silnego rozwoju tego pięknego i zdrowego sportu, mimo trudnych warunków, z powodu oddalonych terenów, jakimi są łagodny Beskid i dzikie Tatry.

Niedawno tej zimy urządziło zawody z okazyi ukończenie pierwszego kursu wojskowego w Zakopanem, obecnie zaś w dniach 16 b. m. urządza drugie z rzędu zawody dla wojskowych, tak czynnych jak i w rezerwie, zaś w dniu 18 b. m. ogólne zawody narciarskie na Kalatówkach, które niewątpliwie skoncentrują na chwilę w Zakopanem cały polski świat sportowy.



Nowy dyrektor „Lutni" krakowskiej:
Władysław Lewicki.
(Do artykułu na str. 10).

Dotąd brakowało Towarzystwu w Zakopanem, we wszelkich przedsięwzięciach na terenie tatrzańskim, należytego punktu oparcia i organów wykonawczych. Starania T. T. N. w tym kierunku wydały pomyślny rezultat, bo właśnie w tych dniach Tatrzańskie Tow. Narciarzy zawiązało w Zakopanem swe koło, na którego czele stanął znany z energii p. Skotnicki.

Illustracye nasze przedstawiają sceny z ćwiczeń oddziału wojskowego narciarskiego w Zakopanem oraz grupę członków nowo założonego Koła Towarzystwa.

W sprawie naszej Wielkiej Szarady!

Na żądanie P. T. Prenumeratorów, nadsyłających rozwiązania Wielkiej Szarady i nowoutworzone wyrazy, przedłużamy termin nadsyłania tychże **do dnia 29 lutego włącznie.**

Kto po tym terminie nadeśle rozwiązanie, nie będzie dopuszczony do losowania.

Nazwiska ubiegających się o nagrody ogłosimy w 10 numerze naszego pisma z dnia 9 marca 1912 roku.

Kronika tygodniowa.

Zakończenie roku szkolnego, albo choćby nawet i półrocza, w naszych szkołach średnich odbywa się bardzo często przy akompaniamencie kocich muzyk, trzasku wybijanych szyb i tym podobnych niespodzianek, któremi młodzież stara się dać wyraz swemu niezadowoleniu z wyniku klasyfikacyi. Majstrowie szklarze w miastach, gdzie istnieją gimnazya i szkoły realne, zaopatrują się na ten czas w większe zapasy szkła i zawczasu cieszą się, że będzie więcej roboty. Dla nich okres poklasyfikacyjny, gwałtowna burza, lub gradobicie, to żniwo.

Nigdy jednak nie doszły nas wiadomości o tylu naraz strejkach szkolnych i podobnych odruchach niezadowolonej młodzieży, jak w końcu stycznia i początku lutego bieżącego roku.

Początkiem było pożałowania godne wydarzenie w Suczawie, którego ofiarą padło i życie ludzkie, w ślad za niem, jak grzyby po deszczu, pojawiały się wiadomości, dość niepokojące, z Kołomyi, Stanisławowa, Jasła, Krosna i Wadowic. Nawet uczenice szkoły wydziałowej w Bochni, oburzone na któregoś z pedagogów, zamieniły się w wojownicze Amazonki, podarły katalog klasowy i uszkodziły urządzenie wewnętrzne budynku. Na czem ono polegało, pisma codzienne nie doniosły, być może, że skończyło się na wysypaniu piasku ze spluwaczki i pobabraniu ściany atramentem.

W każdym jednak razie rewolucya!

Rada szkolna zastanawia się podobno nad tem, w jaki sposób możnaby zaradzić na przyszłość po dobnym wydarzeniom, opinia publiczna jest jednak nie na żarty zaniepokojoną, gdyż w każdym razie źle to świadczy o naszem szkolnictwie średniem, ciągle wprawdzie reformowanem w myśl różnych reskryptów i okólników, pozostawiającem przecież bardzo wiele do życzenia.

Na ogół wypadły podobno w całej Galicyi klasyfikacye półroczne stosunkowo bardzo ostro, a fundusz szkolny zasili się poważnie opłatami czesnego, to jednak ostatecznie możnaby jeszcze przeboleć, gorzej, że każda taka klasyfikacya pociąga za sobą zwichnięcie kilkudziesięciu, jeśli nie kilkuset młodych egzystencyi, które kiedyś mogłyby wyróść na dzielnych obywateli kraju, gdyby w czasie pobytu w szkole traktowano je mniej urzędowo, a więcej po ojcowsku i z wyrozumiałością.

Kto zaś winę ponosi?

W pierwszym rzędzie nasz system szkolny, tak, jak wszystko w Austryi, biurokratyczny i kierujący się zbyt niewolniczo paragrafami. Minęły wprawdzie prawie bezpowrotnie owe czasy, kiedy to każdy zakład średni musiał się wykazać pewnym z góry określonym procentem dwój, gdyż inaczej Rada szkolna krajowa wytykała zbyt łagodną klasyfikacyę, nie brak jednak i teraz dyrektorów i nauczycieli, którzy przesadzają pod tym względem, nie zastanawiając się nad tem, że zbytnią surowością nie tylko nie nakłonią młodzieży do większej pilności, raczej ją tylko zniechęcą.

O ile jednak nadmierna surowość jest zupełnie nie wiodącą do celu, o tyle wiele szkody przynosi i przyniesie musi zbyteczna pobłażliwość. Szczęśliwi pedagogowie, którzy potrafią utrzymać ową *auream mediocritatem*, a takich niestety stosunkowo jest mało.

Znam np. dyrektora szkoły średniej, w jednej ze stolic naszych, który każdemu uczniowi zawsze słuszność przyznaje, ilekroć sprawa toczy się pomiędzy profesorem, a jego pupilem. Młodzież wie o tem, to też karność w tym zakładzie pozostawia bardzo wiele do życzenia, młodzież w szkole i poza nią zachowuje się nagannie, nauczyciele zaś nie interweniują, zniechęceni, gdyż wiedzą, że to na nic się nie przyda.

Wyrozumiałość jest wskazaną, zwłaszcza w postępowaniu z młodzieżą, musi jednak mieć pewne granice, aby nie stała się absurdem. Taki dyrektor uważany bywa za przyjaciela młodzieży i może liczyć na poparcie społeczeństwa przy wyborach do parlamentu, sejmu lub rady miejskiej, w oczach jednak rozsądnego i trzeźwo zapatrującego się na życie ogółu, uchodzić musi za szkodnika i nie przyjaciela, ale wroga młodzieży.

Szkoła ma przecież nie tylko wydać uczniowi świadectwo z ukończenia z dobrym skutkiem tej lub owej klasy, ma także nauczyć go pracować i stosować się do przepisów, które każdego w życiu obowiązują. Jeśli tego przeświadczenia nie nabierze w młodości, będzie całe życie nieszczęśliwy.

A opłakany los sumiennego nauczyciela, który musi pracować pod takiem kierownictwem. Tu i ówdzie widzi różne rzeczy, których być nie powinno, niestety nie może ich poruszać, gdyż spotyka się z opozycyą pana dyrektora, który przecież może mu, jak się to popularnie powiada, „uszyć buty", a nawet postarać się o przeniesienie „ze względów służbowych". Rada szkolna wierzy zaś z zasady dyrektorom, nie ich podwładnym.

Młodzież wiedząc o tem, że ma dyrektora za sobą, daje się energiczniejszym nauczycielom we znaki, oni reagują na to początkowo, wiedząc jednak, że na poparcie przełożonego absolutnie liczyć nie można, opuszczają skrzydła, zniechęcają się do pracy i powiadają sobie: Ha! Niech się dzieje, jak sobie pan dyrektor życzy...

W takich zakładach najwięcej owych profesorów-tyranów (jak ich nazywają uczniowie i ich rodzice), za takiego bowiem uchodzi każdy nauczyciel, który chce sumiennie wykonywać swe zawodowe obowiązki.

Zbytnia surowość kierownika — biegun zupełnie przeciwny — także nie przynosi dodatnich skutków. Tutaj znów, rzekomo dla utrzymania karności i powagi stanu nauczycielskiego, który obszedłby się zupełnie bez takich sztucznych podpór, z zasady nigdy żaden uczeń wobec władzy wyższej niema słuszności. Powiedział pan profesor, że tablica jest biała, tak być musi, choćby nawet ona była rzeczywiście czarna.

Tutaj dzieje się profesorom lepiej, niż uczniom. Na porządku dziennym są konferencye, kary dyscyplinarne, wykluczenia, pan dyrektor stawiany jest przez Radę szkolną za przykład, cierpi jednak na tem sama nauka i młodzież, gdyż ani na jotę nie wolno odstąpić od paragrafów, które stosuje się z drobiazgowością, godną lepszej sprawy.

O ile w poprzednio wspomnianym zakładzie uczeń nie potrzebuje się zbyt natężać, bo dla honoru zakładu powinna być odpowiednia liczba celujących i prawie zupełny brak dwójek, o tyle znów w tym drugim, także z czasem młodzież powiada sobie, że szkoda wysiłków, gdyż powaga zakładu wymaga, choćby uczniowie byli sami luminarze, aby w sprawozdaniu rocznem wykazano pewien procent dwójek. Rada szkolna krajowa mogłaby posądzić dyrektora o brak energii, a tego on się nabardziej obawia, gorzej nawet niż dyabeł święconej wody.

I tak więc źle i tak nie dobrze, owego „złotego umiarkowania" pomiędzy kierownikami zakładów życzyć sobie należy, a młode ich pokolenie, zajmujące zwolna miejsce zeszłowiecznych „c. k. dyrektorów" rokuje jak najlepsze nadzieje.

Z kolei rzeczy należy się wzmianka i samym nauczycielom, których podzielić także można na dwie kategorye, to jest takich, którzy pojmują całą szczytność swego prawdziwie kapłańskiego powołania i pracują z oddaniem się dla dobra powierzonej ich pieczy młodzieży — no i takich, którzy stanowiska swe uważają za urząd, za pełnienie którego otrzymują roczną płacę, bez którejby nie wyżyli.

Ci drudzy nie wiele się też troszczą o szkołę i młodzież, po odbyciu obowiązkowych godzin uciekają z niej, jak z zapowietrzonego miejsca, studenci mogą sobie karki kręcić, co im tam do tego. Uczeń poza szkołą nic mnie nie obchodzi — to ich dewiza, powiedzmy, z gruntu fałszywa. Pozatem mają tysiące innych prywatnych interesów, o których myślą ciągle, setki godzin prywatnych poza szkołą, nie braknie im jednak czasu na spędzenie codziennie kilku godzin w knajpce, gdzie narzekają nad swym ciężkim losem i biadają, jak oni to poświęcają się dla dobra społeczeństwa, które ich zasług nawet należycie ocenić nie potrafi... Są jeszcze między nimi i tacy, o których pewien inspektor krajowy wyraził się, że obliczają swą działalność społeczną „z ilości rozegranych robrów i wypitych bombek" — tych jednak stosunkowo jest najmniej.

Jeśli młody człowiek, nie mając do tego powołania, obiera sobie ciężki i odpowiedzialny zawód nauczycielski, unieszczęśliwia sam siebie i nieobliczalne szkody wyrządza swemu społeczeństwu.

Jak z tego każdy łatwo może wykombinować, szkoła ponosi więc częściowo winę, nie brak jej jednak i po stronie rodziców, zwłaszcza takich, którzy w młodzież starają się wmówić, że szkoła i profesor, dybią na jej szkodę.

Zamiast zgodnego współżycia i wzajemnego uzupełniania się między domem i szkołą, tworzy się między nimi przepaść, wychodzącą na szkodę samej młodzieży. Winę ponoszą tutaj w całej pełni rodzice i opiekunowie, którzy wpajają w młodzież, powierzoną jej pieczy, przekonanie, że jest ona pod każdym względem idealną, a tylko nie potrafią się na niej poznać pedagogowie. Wobec młodego pokolenia wyraża się z przekąsem lub nawet pogardliwie o profesorach, rzecz więc prosta, że w tej atmosferze wychowuje się młodzież, uważająca profesora nie za swego przyjaciela, opiekuna i doradcę, ale rzeczywiście za jakiegoś prawdziwego wroga, którego cieszy, jeśli może ją pogrążyć.

A i młodzież sama pozostawia dziś wiele do życzenia. Młode pokolenie różni się wybitnie od starego, które zaprawiało się w ciężkiej szkole życia i wyrosło potem na dzielnych obywateli. Dziś robi się wszystko połowicznie, aby się tylko zbyć, a broń Boże nie zmęczyć!... Wobec tego wyrabia się w młodzieży zamiast gruntowności, dyletantyzm, zamiast poszanowania dla przepisów, bagatelizowanie sobie wszystkiego.

Rodzice cieszą się, że mają tak mądrych synków, ale zapominają o tem, że to nowoczesne wychowanie zemści się potem na nich samych, z eleganckich gogątek, mających w pięknie ufryzowanej głowie wszystko, prócz myśli o nauce i wypełnianiu obowiązków, ani kraj, ani ojczyzna nie będą miały nigdy pociechy.

Stosunkowo w gorszem jeszcze położeniu znajduje się młodzież w Galicyi wschodniej, gdzie najrozmaitsze stowarzyszenia polityczne ciągną ją w swe szeregi, zapominając o tem, że w ten sposób bardzo łatwo zwichnąć można wiele egzystencyi. Pomiędzy młodzieżą ukraińską już w klasie pierwszej gimnazyalnej znajdziesz „dojrzałych" polityków, którzy jednem pociągnięciem ołówka zmieniają kartę Europy. Niestety, kierownicy tej młodzieży, zamiast chronić ją od tego, sami popychają ją w wir życia społecznego i przyczyniają się do wytworzenia owej „pajdokracyi", która już i im samym dała się nieraz we znaki.

Aby było lepiej, potrzeba nam szkoły w całem tego słowa znaczeniu, w której się uczy, a nie bawi, a pedagogów, prawdziwych wychowawców i kierowników młodzieży, a nie c. k. urzędników. Rzecz prosta, że szkoła musi stać zupełnie zdala od polityki. Po skończeniu gimnazyum uczeń będzie miał dość czasu na rozglądnięcie się w stosunkach politycznych i oświadczenie się za programem tego lub owego stronnictwa, na razie jest jeszcze zbyt młody, a czas wolny powinien obrócić na naukę.

Gdyby wszystkie te braki dało się usunąć, mielibyśmy szkołę idealną, w której nie słyszałoby się o żadnych strejkach. Wychodziłaby z nich młodzież, której nie rozchodzi się o to, aby otrzymać świadectwo, ale, aby się czegoś nauczyć, a z takiej dopiero wyrośnie przyszłe pokolenie, zdolne do czynu i mogące spełnić nadzieje, jakie w niem pokłada społeczeństwo.

Odznaczenie. Znanej firmie tutejszej: **Herman Plesen,** specyalista gorsetów, Kraków, ul. Grodzka l. 4, Wiedeń, ul. Mariahilferstrasse l. 51 i Lwów, ul. Jagiellońska l. 5 i Halicka 13, nadany został tytuł „cesarskiego i królewskiego dostawcy nadwornego".

Strata cichego, lecz zasłużonego pracownika.

W organizacyi społecznej twórcami życia obywatelskiego są nie tylko ci, których los lub zdolności wyrzucają na naczelne, kierujące stanowiska, ale także i ci, którzy cichą, twórczą pracą, prowadzoną z dnia na dzień, formują cegiełki, z których



Strata cichego, lecz zasłużonego pracownika: Ś. p. dr. Sebastyan Stafiej.

składa się gmach społeczny. Ubytek ich z posterunku jest częstokroć stratą bardzo dotkliwą. W ostatnich dniach zmarł w Krakowie jeden z takich cichych, a zasłużonych pracowników, sekretarz krakowskiej Rady powiatowej, dr. Sebastyan Stafiej.

Urodzony w r. 1861, ukończył studya prawnicze w uniwersytecie krakowskim, a po odbyciu praktyki sądowej w Rzeszowie, został w r. 1886 powołany na stanowisko sekretarza Rady powiatowej krakowskiej. Na tem odpowiedzialnem, a dla ekonomicznego rozwoju powiatu bardzo ważnem stanowisku, pozostawał 25 lat, spełniając swe obowiązki z przejęciem się ważnością swej misyi i niejednokrotnie składając dowody swego obywatelskiego i patryotycznego ducha.

W życiu publicznem dr. Stafiej brał bardzo żywy udział, a specyalnie gminy podmiejskie krakowskie mają mu wiele do zawdzięczenia. To też żywy żal obywateli towarzyszy jego zgonowi.

Organizacya kuchmistrzów.

Idea zrzeszania się i organizacyi, która stanowi siłę każdego społeczeństwa, przenika obecnie do wszystkich sfer i zawodów. W szeregu tak licznych



Sport zimowy w Zakopanem: Ćwiczenia na nartach.

dziś instytucyi zawodowych powstało już w r. 1886 „Zgromadzenie kuchmistrzów" w Warszawie, a obecnie za przykładem Warszawy poszła Łódź. Z inicyatywy p. Bawarskiego w tych dniach właśnie zawiązano tam podobną organizacyę. Uroczystość otwarcia łódzkiego „Zgromadzenia kuchmistrzów" odbyła się w sali Stowarzyszenia majstrów fabrycznych, przy udziale delegatów z Warszawy i licznych gości. Zebranie zagaił inicyator, p. Bawarski, poczem przemówił p. Grodzki, starszy „Zgromadzenia kuchmistrzów" warszawskich, który wręczył na pamiątkę piękny album, oprawny w skórę, ze srebrnym i złotym napisem: „Na pamiątkę w dniu otwarcia i poświęcenia „Zgromadzenia kuchmistrzów" w Łodzi". Od „Zgrom. kuchmistrzów" w Warszawie".

Ilustracya nasza przedstawia uczestników organizacyjnego „Zgromadzenia kuchmistrzów" w Łodzi.

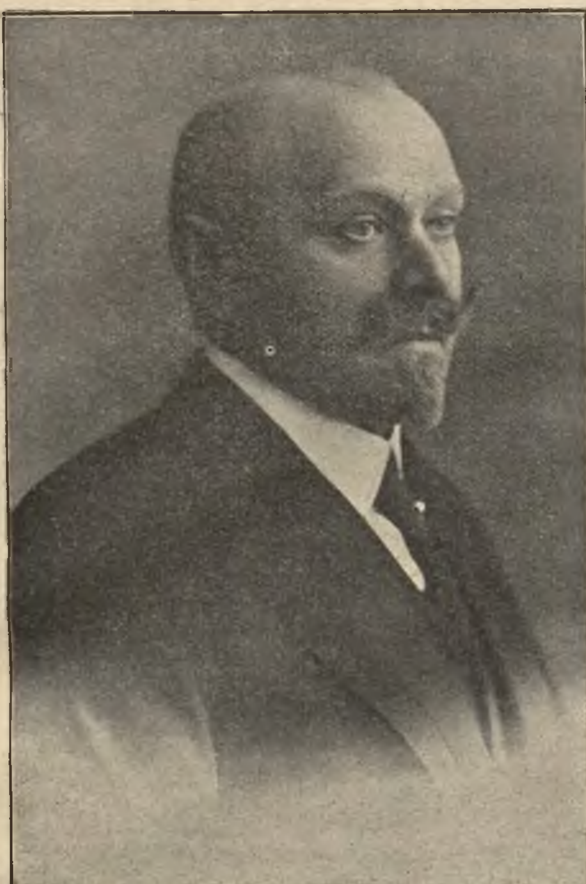
Smiertelny skok z wieży Eifla.

(Do illustracyi na str. 4).

Jazda aeroplonami i balonami, choć bardzo poetyczna i piękna, pełna jest jednak niebezpieczeństw i kończy się często tragicznemi katastrofami. Od dawna też aeronauci pracują nad wynalezieniem jakiegoś przyrządu lub ubrania, któreby zabezpieczało lotnika przed rozbiciem się o ziemię, albo przynajmniej łagodziło upadek. Dotychczas jednak wszystkie wynalazki na tem polu okazały się niedoskonałe, a ostatnia próba takiego wynalazku zakończyła się śmiercią wynalazcy. Dokonał jej w ubiegłym tygodniu w Paryżu krawiec Franciszek Reichelt. Skonstruował on płaszcz, który miał zarazem służyć jako spadochron i otwierać się w powietrzu na przestrzeni 6 m. jak parasol. O doskonałości swego wynalazku tak był przekonany, że zapragnął sam go wypróbować. Ubrawszy się więc w swój płaszcz spadochron skoczył z pierwszego piętra wieży Eifla. Płaszcz jednak zawiódł, otworzył się tylko w połowie, a wynalazca znalazł śmierć na miejscu.



Organizacya kuchmistrzów: Uczestnicy organizacyjnego zgromadzenia kuchmistrzów w Łodzi.



Nowe prezydyum Izby handlowej i przem. we Lwowie: Leopold Baczewski, zastępca prezydenta Izby.

Jadwiga Lachowska.

W kołach melomanów i miłośników opery wywołała niewątpliwie wielkie zainteresowanie wiadomość, iż młoda, lecz już okryta laurem sławy artystka opery, p. Jadwiga Lachowska, wstąpiła w związki małżeńskie. Jest ona bowiem, pomimo młodego wieku, jedną z cenniejszych polskich sił operowych. Kiedy w r. 1908 po raz pierwszy wystąpiła w zespole operowym teatru lwowskiego, powitało ją jednomyślnie uznanie krytyki i życzliwa a zasłużona ocena. Jedna z najmłodszych wiekiem i pracą na scenie śpiewaczek oczarowała słuchaczy odrazu swym mezzosopranowym głosem, o silnym metalicznym dźwięku, podbiła swym temperamentem, żywym a pełnym wdzięku... Sympatyczną śpiewaczkę miał możność podziwiać i Kraków podczas gościny teatru lwowskiego, w którym p. Lachowska odrazu wybiła się na pierwsze miejsce.



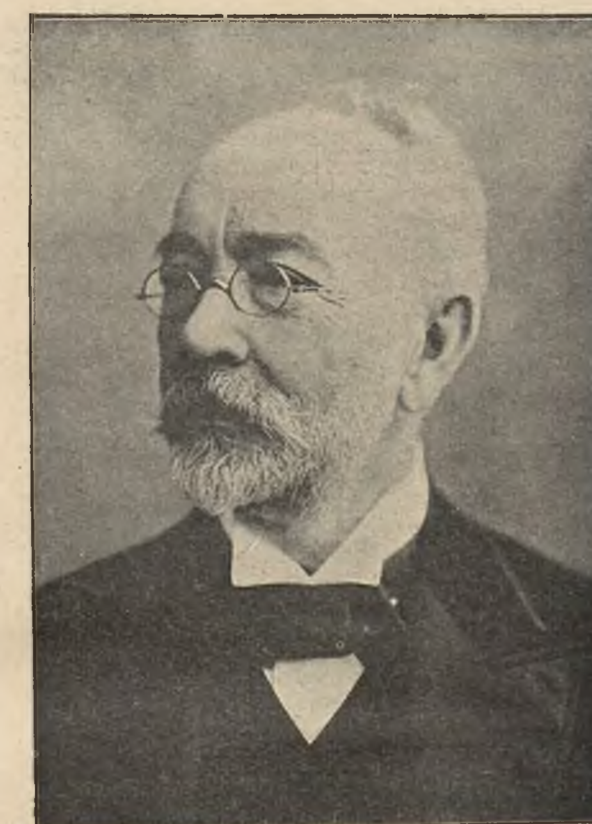
Jubileusz „Halki“: Aleksander Myszuga, artysta opery warszawskiej.

Młoda śpiewaczka jest Lwowianką, a naukę śpiewu pobierała w szkole pp. Souvestrów. Dzisiaj po kilku latach pracy scenicznej należy do wybitniejszych bezsprzecznie sił operowych sceny warszawskiej, a gra jej w miarę obycia się ze sceną i jej potrzebami zyskała wiele na sile i wyrazistości. Warszawa ceni ją i, sądzimy, nie prędko pozwoli opuścić swe progi.

P. Lachowska obecnie włożyła wprawdzie słodkie kajdany hymenu, sądzimy jednak, że te nowe, złote obowiązki nie przeszkodzą jej w dalszej, tak świetnie zaczętej karyerze artystycznej.

Jubileusz „Halki“.

Wszystko się zmienia na świecie, a przedewszystkiem gusta i upodobania. Zwłaszcza w dziedzinie sztuki zmieniają się, jak w kalejdoskopie, kierunki i po-



Nowe prezydyum Izby handlowej i przemysłowej we Lwowie: Samuel Horowitz, prezydent Izby.



Nowe prezydyum Izby handlowej i przem. we Lwowie: Ignacy Russman, rewident kasy.



Nowe prezydyum Izby handlowej i przem. we Lwowie: Władysław Gubrynowicz, honorowy prezydent Izby.



Sport zimowy w Zakopanem: Grupa członków Tatrzańskiego tow. narciarzy.



Jadwiga Lachowska.



Szef szpiegów: Filemon Stecyszyn, herszt szajki szpiegowskiej, uwięzionej we Lwowie.

jęcia artystyczne. To też najlepszą miarą rzeczywistej a nie przelotnej wartości każdego dzieła jest jego trwałość. Utwór, którego nie dotknie ząb czasu i nie osłabi jego artystycznej siły, musi mieć wartość głębszą... Posiada ją niewątpliwie klejnot polskiej literatury operowej „Halka“ Moniuszki... Przetrwała zmienne koleje kaprysów artystycznych i dziś, tak jak przed laty, przemawia do słuchaczy czarem swojskiej nuty... W tych dniach właśnie utwór niezapomnianego kompozytora obchodził w Warszawie rzadki jubileusz — siedmsetne przedstawienie! Było to niewątpliwie wielkie święto polskiej muzyki i jeden z jej niezaprzeczonych tryumfów.

W jubileuszowem tem przedstawieniu wystąpił również jubilat, p. Myszuga, niezrównany wykonawca partyi Jontka w „Halce“. W roli tej debiutował p. Myszuga podczas trzechsetnego przedstawienia „Halki“ na scenie warszawskiej w r. 1885 i od razu dał się poznać jako godny następca swych dwóch znakomitych poprzedników, Dobrskiego i Fileborna. I do ostatniej chwili znakomity śpiewak opery warszawskiej jest najlepszym wykonawcą tej głównej partyi Moniuszkowskiego arcydzieła.

Szef szpiegów.

W jednym z poprzednich numerów podaliśmy podobizny 11 osób, aresztowanych pod zarzutem należenia do szajki szpiegowskiej, a uwięzionych we Lwowie. Organizatorem tej szajki jest Filemon Stecyszyn, b. urzędnik pocztowy w Galicyi, pochodzący ze starych Brodów. Do rąk władzy dostała się obecnie fotografia Stecyszyna, który najspokojniej buja poza granicami kraju, nie troszcząc się wcale o to, co spotka tych wszystkich, którzy dali się wciągnąć w sieć szpiegowską. Oprócz Stecyszyna podajemy fotografię jego byłej kochanki, Wandy Dolek, kawiarki z zawodu, z którą łączyły Steczyszyna bardzo blizkie stosunki. I ona też ukrywa się przed okiem władzy.

Nowe prezydyum Izby handlowej i przemysłowej we Lwowie.

W rozwoju naszego handlu i przemysłu na gruncie galicyjskim ważną rolę odgrywają Izby handlowe i przemysłowe. Zarówno z racyi praw, nadanych im przez ustawę, jak i też z tytułu tego, że w skład ich wchodzą najwybitniejsi delegaci ze sfer kupieckich i przemysłowych, Izby te wywierają wielki wpływ na nasze stosunki ekonomiczne.

To też ster Izb handlowych i przemysłowych spoczywać musi w rękach ludzi, którzy z obywatelskiem poświęceniem i znajomością rzeczy potrafią bronić naszych ekonomicznych postulatów.

W ubiegłym tygodniu dokonano we Lwowie wyboru prezydyum Izby handlowej i przemysłowej na rok bieżący. Do prezydyum weszli ludzie, którzy już od szeregu lat kierują interesami lwowskiej Izby, a którzy dla naszego handlu i przemysłu nie małe położyli zasługi. Jako prezesa wybrano ponownie p. Samuela Horowitza, jako wiceprezesa p. Leopolda Baczewskiego, prezesem honorowym wybrano p. Władysława Gubrynowicza, zaś rewidentem kasy p. Ignacego Russmana.

Przemyśl w białej szacie.

Nic tak szybko nie przemija, jak... śnieg. Jeden promień ciepły słońca, a znika cudna biała szata, w jaką zima stroi ziemię. Kiedy jednak wysypie ona swój puch na nasze niwy i miasta, wstrzymuje czasem komunikacyę i ludzi zamyka w domach, skazując ich na przymusowy areszt, czasem bardzo długi.

Tak było niedawno w Przemyślu, gdzie zawieja śnieżna zasypała miasto, gromadząc na ulicach śnieg na przeszło $^1/_2$ m. wysoko. Naturalnie, komunikacya była w mieście na pewien czas przerwana, a na dworcu kolejowym musiano osobnymi pociągami wywozić śnieg, zgarnięty z szyn i torów.

Illustracya nasza przedstawia oczyszczanie ze śniegu torów kolejowych. Niestety! Zaspy te zniknęły szybciej jeszcze, niż przyszły. A nim nasz numer dzisiejszy dojdzie czytelników Przemyśl już będzie wolny od puchów śniegowych, które rozpływają się w chlapie deszczowej.



Szef szpiegów: Wanda Dolek, b. narzeczona herszta szajki szpiegowskiej Stecyszyna.



Przemyśl w białej szacie: Wywożenie śniegu z dworca kolejowego w Przemyślu.

Głosy publiczne.

W Krakowie odbędzie się od maja do października b. r. **wystawa architektury i wnętrz w otoczeniu ogrodowem.** Podstawowym przedmiotem wystawy, dla którego zarezerwowano cały pawilon główny, będzie rezultat konkursu na typy domów mieszkalnych, ogłoszonego z pomocą Gminy m. Krakowa. Sprawa indywidualnego mieszkania jest dziś uznana w świecie całym i zajmuje w wysokim stopniu umysły współczesnych architektów. Wystawa powinnaby pobudzić i nasze społeczeństwo do wcielenia w czyn zdrowych zasad.

Obok rezultatu wspomnianego konkursu otwarta będzie na wystawie sposobność przedstawienia szerokiej publiczności istniejących już lub projektowanych budynków mieszkalnych (z wykluczeniem domów czynszowych) w ramach tematów objętych programem wystawy, przyczem niezmiernie pożądane są modele plastyczne, pomalowane. Jest to niezawodnie najwymowniejszy sposób przedstawienia architektury, wiemy bowiem, jak obojętnie przechodzi publiczność obok rysunków.

Przypominamy, że termin wysyłki planów rysunkowych na konkurs upływa 1 marca b. r., termin zaś dodatkowy dla nadsyłania modeli loco Kraków — 15 kwietnia b. r. Termin ostateczny nadsyłania innych prac na wystawę ustanawia się na dzień 15 kwietnia b. r. loco Kraków, dla zapewnienia jednak odpowiedniego miejsca pożądane jest nadsyłanie prac jak najwcześniej.

Zgłoszenia na wystawę powinny być przysyłane do 1 marca b. r. pod adresem Komitetu wystawy: Wolska 40, Kraków, Delegacya Architektów Polskich i Komitetu Wykonawczego wystawy.

Z „Cyrku Edison“: W piątek dnia 16 bm. następuje zmiana programu, którego atrakcyą będzie wstrząsający dramat z życia codziennego „Zbłąkane dusze“. Aktualny jak zawsze i niedościgniony „Żurnal Pathego“ przynosi cały szereg wypadków ostatniego tygodnia z dziedziny polityki, katastrof, klęsk elementarnych, sportu, mód kobiecych i t. d.

Niemniej interesu budzi pyszne zdjęcie z natury „Indo-Chiny“ dające obraz tego ciekawego kraju, zwyczajów ludności i przegląd uroczystości z okazyi wizyty króla Gisawong-Yonga u gubernatora w Laos. Programu dopełniają pełne humoru obrazki „Przykra pomyłka“ i „Maciuś i jego pies“.

Z półek księgarskich.

Poradnik teatrów i chórów włościańskich, organ „Związku teatrów i chórów włościańskich“ wyszedł w potrójnej objętości za miesiąc wrzesień, październik i listopad. Obfita treść ostatniego numeru „Poradnika“ informuje z jednej strony o działalności ludu na polu organizowania teatrów i chórów włościańskich, z drugiej zaś poucza amatorów o sposobach urządzania przedstawień. Do pierwszej części należy St. Niewiadomskiego „Misya Namysłowskich“, W. Gomułkiewicza „Nasze miasteczka wobec teatru włościańskiego“ oraz liczne korespondencye. Na część drugą składa się pouczający artykuł: Jak grać i jak wystawić obraz dram. p. t. „Chrzest w ogniu“ oraz Fr. Kruczkowskiego „Z zapisków reżysera“.

Zeszyt rozpoczyna wiersz K. Gaszyńskiego „Olszyna Grochowska“, który nadaje się do wygłaszania na obchodach narodowych. Nadto znajdujemy tu zasadniczy artykuł p. t. „Upadek śpiewu ludowego“. Autor stwierdza upadek pieśni ludowej zarówno świeckiej jak i kościelnej, podaje przyczyny tego upadku i wskazuje środki zaradcze. Domaga się więc między innymi wydania autentycznych śpiewników kościelnych, któreby zapobiegły dowolnym a często nieuzasadnionym zmianom tekstu pieśni, oraz wprowadzenia systematycznej nauki śpiewu na wsi, czem się powinni zająć księża i organiści. Zachęca też autor do zakładania w całym kraju „Kółek śpiewaczych“, których celem byłoby pielęgnowanie pieśni ludowej.

Zeszyt zamyka obfity przegląd sztuk do grania oraz kronika. Przy sposobności przypominamy, że roczna prenumerata „Poradnika“ wynosi 3 K, a redakcya i administracya znajduje się we Lwowie przy ul. Chmielowskiego L. 10.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

Łamigłówka kucharska: Marmolada poziomkowa.

Trójkąt magiczny:

M a h o m e t
A t t y l a
H o m e r
O d r a
M a k
E l
T

Bilety wizytowe: Tapicer i dekorator. Sekundarynsz kliniki.

Zadanie do przestawienia: Jaki pan, taki kram.

Logogryf:

M a r m o r a
B i a ł a
A r t u r
M e r
P a j a c
Ż u k ó w
W i g o w i e

Kwadrat magiczny:

M
D o n
S a n i e
P r o t a z y
M o n t e r o s a
C h a r k ó w
Z ł o t a
O s a
a

Szarada: Kabanosy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: E. Sawiczewska Warszawa, J. Baziak Lwów, S. Lichanski Sambor, J. Nowacki Przemyśl, H. Kozłowski Krosno, M. Krawecka Lwów, J. Roth Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, W. Rożański Cieszyn, J. Obraczay Morawska Ostrawa, H Piątek Podwołoczyska, S. Trojacki Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, H Wilczkiewicz Sanok, K. Domański Lwów. J. Roland Zakopane, K. Wieniórowski Kraków, J. Zerygiewicz Stanisławów, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, S. Biliński Tarnopol, J. Lisowski Jasło, K Balicki Czerniowce, S Lindenbaum Kołomyja, H. Bätterfeind Kołomyja, J. Jaglarz Kraków, W. Lichański Nowy Sącz, T. Patlewicz Rzeszów, R. Turosz Jasło, T Nikel Kraków, F. Horak Oświęcim, K. Radoszewski Tarnobrzeg, M. Więckowska Rzeszów, J Obst Łódź, H. Pick Warszawa, K. Nowak Podgórze, S Krzyżanowski Tarnopol, J. Karczmarski Poddębie, C. Wang Tarnobrzeg, R. Rosenbaum Lwów, D Engelberg Bochnia, M Kukla Lwów, W. Bandrowski Częstochowa, J Swirski Sandomierz, W Kwaśniewski Piotrków, E Ostrowski Lwów, K Antosz Bochnia, H. Broda Rzeszów, J. Kamiński Kraków, H. Galiński Lwów, A. Siatka Kraków, A Dużak Kraków, J Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kołomyja, W. Potocka Kraków, J. Better Lwów, I Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, J. Wilkosz Kraków, F. Schmidt Kraków, S Wojczyński Warszawa, J. Leszczyński Rozwadów, K Scholz Tarnów, R. Kinalski Kraków, K. Bernatowicz Jasło, M. Linderska Zakopane, G. Finger Wadowice, B. Barowicz Sanok, J. Kaniewski Oświęcim, M. Sołtysik Żółkiew, H. Weiss Kraków, D Sługocki Sanok, J. Zachara Lwów, K. Wyka Kraków, J. Cieplik Lwów, A Trzeciak Nowy Sącz, S Kamiński Petersburg, M. Radwański Lwów, K. Radoszewski Kraków, J. Stojowski Halicz, K. Łapiński Kołomyja, K. Kaim Kraków J. Zegartowska Bogucice. S Sokołowski Bochnia, K. Dembiński Jasło, F. Błachowski Zakopane, S Ryś Lwów, A. Kadulski Kraków, I. Forscher Czerniowce, S Link Lwów, Z. Gliński Kołomyja H Kozicki Kraków, J. Jaskólski Warszawa, S Rychlik Sambor, J. Łopatkiewicz Krosno, M. Misiński Tarnów, F. Radomski Jasło, H. Berger Lwów, M. Osadzińska Rzeszów, W. Thun Płock, M. Kalinowska Petersburg, J. Trepka Radom, T. Mazaraki Sandomierz, E. Niestenberger Kraków, A. Gralewski Kraków, D Michalski Sosnowiec, C. Janik Żółkiew, B Michalec Zakopane, M. Suchecki Nowy Sącz, M. Klapholz Rzeszów, M. Solecka Jasło, K. Rylski Krosno, S. Bukowski Równo, H. Maciejowska Winnica, J. Topolnicki Kamieniec, ks. E Krynicki Bobiatyn, M. Arbesbauer Lwów, W. Rapacz Bolęcin, K. Szumańska Rawa Ruska, M. Zabierzewska Kraków, S. Skowron Raciborowice, A. Bocsoń Bóbrka, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **E. Ostrowski, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Jan Badura, Rożdzień: Dalszego ciągu powieści „Krew", którą musieliśmy przerwać ze względów cenzuralnych nie rozpoczniemy tak prędko, chyba dopiero po ukończeniu „Królewiaków" Gruszeckiego. Co do reszty, postaramy się, by Pana zadowolić

WP. T. Wider, Wadowice: Otrzymaliśmy. Zapisane jest pod Nr. 742.

WP. S. Lipiński, Kazimierz nad Wisłą: Stanie się według życzenia.

WP. T. Sołtykowski, Dębica: Załatwione. Odmiany wyrazów wykluczone. Termin upływa 29 lutego.

WP. W. Rapacz, Bolęcin; Otrzymaliśmy już po zamknięciu numeru

WP. K. Szumańska, Rawa Ruska: Prawo ubiegania się o nagrodę ma każdy z Prenumeratorów, który zapłacił przedpłatę za ten kwartał, w którym odbywa się losowanie. Opóźnienie nie szkodzi.

GASTON LEROUX.

BALAOO

16)

— Rozumiem — ale to nie jest odpowiedź.

— Powtórz im to, co słyszałaś i zobaczysz, że się nad tem zastanowią, jeżeli są rozumni — rzekł mer. — A jak się miewa doktor Honorat?

— Dobrze.

— Cóż on mówi?

— Nic nie mówi.

— Tylko, żeby go nie męczyli!

— Ach, pilnują go, żeby nie uciekł. A zresztą wcale się nim nie zajmują.

— Dajecie mu jeść przynajmniej?

— Rzucili mu dziś jego porcyę, ale widać nie głodny, bo nie tknął jedzenia. Więc to już wszystko, co mieliście mi do powiedzenia? Do widzenia, panowie!

Odwróciła się i odeszła. Nikt nie ośmielił się zapytać, skąd wzięła suknię, zanadto jeszcze obawiano się jej braci. Nawet ktoś powiedział, że jej w tym stroju do twarzy.

Odeszła, jak i przyszła, wyprostowana, dumna, zamiatając ogonem kurz...

Nikt nie śmiał iść za nią, granica lasów zawsze była groźna, chociaż teraz obozowała na niej kompania piechoty. Niedaleko stała druga kompania, oczekując rozkazów. Ale oficerowie twierdzili, że trzeba najmniej dwu dywizyi, żeby mieć pewność, że nikt z lasu nie umknie.

Z drugiej strony lasu pułkownik de Briage rozstawił swych ludzi, ale zwlekał jeszcze z wkroczeniem do lasu. Czynił to z rozmysłem, niechętnie bowiem spełniał te obowiązki policyjne. Tłumaczył wicehrabiemu de Terrenoire, który na czele swego szwadronu objeżdżał lasy, że musi się rozmówić z prefektem i że nie chce brać na siebie żadnej odpowiedzialności.

Rozpoczęte pertraktacye opóźniły rozpoczęcie obławy. Prefekt telegrafował do ministra i do trzeciej popołudniu nie miał jeszcze odpowiedzi.

Równo o trzeciej Zoe pokazała się na granicy lasu. Była ubrana, jak i przedtem, w suknię cesarzowej i szła z odkrytą głową, pomimo palących promieni słońca. Gdy weszła w ulicę Nową, wszyscy mieszkańcy otoczyli ją natychmiast.

Oznajmiła, że przynosi odpowiedź swych braci i że chce widzieć się z merem. Powiedziano jej, że mer, prefekt, pułkownik de Briage i dwu innych oficerów jedzą obiad w gospodzie pod Czarnem Słońcem.

Zoe udała się do gospody.

Wprowadzono ją do sali, gdzie przy stole, zastawionym obficie butelkami, siedziały władze cywilne i wojskowe, oczekując odpowiedzi od ministra. Zamiast depeszy przyszła Zoe.

— Zbliż się moje dziecko — rzekł prefekt łagodnym głosem, jak gdyby miał do czynienia z nieśmiałą panienką.

Zoe podeszła śmiało. W ręku trzymała pakiecik, zawinięty w numer gazety.

— Widziałaś się ze swymi braćmi i już wróciłaś. Są więc niedaleko stąd — odezwał się prefekt — Widzisz, że gdybyśmy chcieli, już byliby w naszych rękach. Ale lepiej będzie, jeżeli sami się poddadzą, myślę, że zrozumieli to?!

— Oto ich odpowiedź! — rzekła Zoe — podając prefektowi pakiecik.

— Cóż to jest?

— Niech pan zobaczy!

Powiódłszy zwrokiem po wszystkich obecnych, żeby dać im poznać swe zdziwienie, prefekt wziął z rąk Zoe pakiecik i począł go rozwijać.

Ciekawość wszystkich doszła do zenitu, gdy pierwszy papier odpadł i ukazał się drugi, cały poplamiony krwią.

Prefekt szybko rozwinął go. I w tej chwili położył pakiet na stole, wydając okrzyk przerażenia.

Wszyscy pochylili się nad stołem i wszyscy krzyknęli ze zgrozą.

W pakiecie był... palec.

Kiedy pierwsze wrażenie przeminęło, prefekt zwrócił się do Zoe. Był blady i nerwowo targał wąsy.

— Co nam przyniosłaś nieszczęsna?!

— To jest mały palec doktora Honorata — odparła spokojnie Zoe, pociągając nosem.

— Twoi bracia odcięli doktorowi palec?

— No, przecież to nie pana palec, ani mój!

— Poznaję ten palec — rzekł mer. — Doktor nosił na nim pierścień, zostawiono go, jakby dla stwierdzenia tożsamości.

— Ależ to jest wstrętne — zawołał prefekt, blednąc coraz bardziej.

— Dlaczegóż nie mogli uciąć palca jednemu z tych, którzy chcą im uciąć głowy — rzekła logicznie Zoe.

— Lepiej powiedz mi, mała nędznico, poco oni to przysłali?

— Przysłali to, żeby wam pokazać, że są gotowi zrobić wszystko! Dają czas prezydentowi do jutrzejszego południa. Jeżeli jutro w południe nie otrzymają ułaskawienia, utną doktorowi drugi palec, żeby wam dać dowód, że nie żartują. Powtarzam to, co mi powiedzieli. Pojutrze zabiją doktora, przyślą wam jego kawałki, a sami uciekną z lasu i wy będziecie odpowiadać za to, co się potem stanie... To wszystko, co mi kazali powiedzieć. Czy mogę wrócić do lasu?

W tej chwili wręczono prefektowi depeszę. Była tak oczekiwana odpowiedź ministra. Prefekt otworzył ją gorączkowo i przeczytał, starając się ukryć wrażenie niezadowolenia i gniewu.

— To się nazywa odpowiedź! — mruknął, podając depeszę pułkownikowi i merowi.

Depesza brzmiała: „Rząd nie może wchodzić w układy z ludźmi, wyjętymi z pod prawa. Trzeba, żeby siła pozostała przy prawie, ale z powodu doktora postępujcie z ostrożnością!“

— Tośmy daleko zaszli! — rzekł mer.

— Ostatecznie, panie prefekcie — odezwał się pułkownik — rząd zwala na pana całą odpowiedzialność. Ja zastosuję się do pańskich rozkazów, ale proszę o rozkazy stanowcze i wyraźne! Bez dwuznaczników! Poza tem — umywam ręce.

— Ale cóż ja mam robić, panowie! Co mam robić! Widzicie sami dobrze, że go zamordują!

— To jest pewne! — oznajmiła Zoe, o której wszyscy na chwilę zapomnieli.

Prefekt zawstydził się, że okazał wobec posła wroga zakłopotanie i starał się naprawić to gniewem.

— To jest jeszcze pewniejsze — krzyknął — że twoi bracia, postępując jak dzicy ludzie, nie zasługują na łaskę, ani na litość i zanim noc zapadnie, będą wybici do nogi. Oto rozkaz!

— Nie — odparła Zoe, podnosząc głowę. — Gdyby to był rozkaz, pan nie byłby tak zakłopotany! Ostatecznie, co mam im powiedzieć?

— Żeby uwolnili doktora!

— To nie odpowiedź. Pan nie będzie zadowolony, jeżeli jutro utną mu drugi palec. Tymczasem ja odchodzę!

— Możnaby zatelegrafować do ministra, zawiadamiając o ucięciu palca — rzekł mer. — Może to go skłoni do jakieś decyzyi.

— Natychmiast! — zgodził się prefekt i zażądał pióra i atramentu. — Słuchaj, Zoe — rzekł do dziewczyny — zatrzymuję cię tu, dopóki nie dostanę odpowiedzi od ministra. Możesz poczekać w sali tu obok. Trzeba z tem skończyć.

— Dobrze, kończcie prędko, bo oni tam w lesie zaczynają się niecierpliwić — odparła Zoe.

Poczem udała się do sąsiedniego pokoju, a mer zasiadł do pisania depeszy. Po wysłaniu jej dostojnicy cywilni i wojskowi zajęli się rozmową na temat ubiegłych wypadków.

Nagle w sąsiednim pokoju rozległy się krzyki, usłyszano ochrypły głos:

— Oddaj mi moją suknię! Ty złodziejko! Siostro morderców! Oddawaj suknię!

Drzwi otworzyły się i wbiegła Zoe, szukając pomocy przed matką Toussaint, która chciała zedrzeć z niej suknię. Matka Toussaint dowiedziała się od sąsiadów, w jakim stroju zjawiła się Zoe. W jednej chwili zapomniała o wspomnieniach tragicznej nocy i o strachu przed trzema braćmi. Jak szalona przybiegła do gospody i rzuciła się na dziewczynę.

Zoe broniła się z oburzeniem; otwierając szeroko oczy, klęła się na wszystkie świętości, że suknia jest ładna, że leży na niej doskonale i że nigdy nic w życiu nie ukradła!

Zniecierpliwiony do ostatniego stopnia tym wypadkiem, do którego przywiązywał mało wagi, prefekt zapytał Zoe, skąd wzięła suknię; odpowiedziała mu na to, że dostała ją od jakiegoś nieznajomego, którego spotkała w lesie. Mer starał się wytłumaczyć matce Toussaint, że chwila jest zanadto poważna, by zajmować się suknią. Wreszcie szef bezpieczeństwa oznajmił, iż nie schwytano dziewczyny na gorącym uczynku kradzieży i że niema przeciw niej żadnych dowodów. Na to zgodzili się wszyscy i matkę Toussaint wyrzucono za drzwi, radząc jej udać się do sądu.

W taki sposób zdecydowano o losie sukni, która pozostała na małej Zoe, królowej lasów.

Tymczasem nadeszła druga odpowiedź ministeryum. Brzmiała kategorycznie:

„Wstrętna dzikość. Powtarzamy, że siła musi pozostać przy prawie. Skończyć dzisiaj i zawiadomić o rezultacie telegraficznie. Jutro interpelacya. Postępować ostrożnie, ze względu na doktora Honorata“.

Nowe instrukcye nie rozwiązały kwestyi, nie zmniejszyły też zakłopotania prefekta, zwalając całą odpowiedzialność na jego plecy. Musiał sam dawać sobie radę. Ukrywając niezadowolenie, prefekt rzekł stanowczo do Zoe.

— Powiedz swoim braciom, że rząd nie chce ich znać, jeśli się nie upokorzą. Powtarzam jeszcze raz, niech się poddadzą, a pan prezydent zobaczy, co może dla nich zrobić. Dajemy im czas do namysłu do jutra rana, do godziny szóstej. A jeśli zamordują doktora, to im wcale nie pomoże, przeciwnie! Idź!

Zoe odeszła nadąsana.

Po jej odejściu złożono natychmiast radę wojenną. Prefekt wyłożył swój plan. Ponieważ trzeba było działać szybko i ostrożnie, plan ten łączył w sobie siłę z podstępem. Dając braciom Vautrin czas do godziny szóstej z rana, prefekt poczynał już wprowadzać w życie swój plan. Ostentacyjnie wyda się rozkaz wojskom, pilnującym lasu, żeby rozłożyły się obozem, jak gdyby miały spoczywać przez całą noc! Tymczasem o drugiej z rana wyruszy się do ataku. Kryjówka trzech braci nie może być daleko, dowodzi tego szybki powrót Zoe. Pod osłoną nocy, wojsko prześlizgując się ostrożnie pod drzewami, zacieśni koło, którego środek stanowi polana Moabit.

Rozłożono mapę sztabu generalnego na stole i do wieczora opracowywano szczegóły planu. O zmroku, każdy, wiedząc, co ma czynić, udał się na swe stanowisko. Mer kazał obębnić po mieście, że niebezpiecznie jest chodzić po ulicach i w okolicy po godzinie 8 wieczorem i radził mieszkańcom położyć się razem z kurami i nie zajmować się tem, co się może dziać poza ich mieszkaniami.

Tej nocy nikt w Saint-Martin-des-Bois nie kładł

się. Wszyscy byli na swych stanowiskach, z okiem przytkniętem do szpary w okiennicy. Mieszkańcy ulicy Nowej widzieli światło w oknach merostwa i starali się rozpoznać cienie, szybko prześlizgujące się przez ulicę. O północy zauważono trzy osoby, zawinięte w płaszcze. wychodzące z domu mera. Byli to panowie: prefekt M. Delafosse, pułkownik de Briage i szef bezpieczeństwa z Clermont. Co do mera, to ten oświadczył, że nie opuści zaszczytnego stanowiska w merostwie, gdzie pozostał, przygotowany na wszystko.

ROZDZIAŁ VI.

Hubert, Szymon, Eliasz.

Podczas gdy w Saint Martin władze cywilne i wojskowe ślęczały nad planem, proponowanym przez prefekta, skośne promienie jesiennego słońca oświetlały wierzchołki drzew, otaczających polanę Moabit. Wśród wysokich paproci, otoczeni splotem roślinności, która w tym zakątku lasu tworzyła kryjówkę, nie dającą się odkryć, trzej bracia, wsparci na strzelbach, spali. Resztki jedzenia, butelki, porozrzucane na trawie, świadczyły, że nie brakowało im niczego. Wyglądali teraz jak nasycone zwierzęta.

Najsilniejszy z nich, Hubert, siedział w dzikim krzaku, który zakrywał do połowy jego kwadratową, jakby z drzewa wyrąbaną, postać. Hubert chrapał, ale niebezpiecznie było przypuszczać, że jego oko pod uchyloną powieką nie czuwa. Ci ludzie mieli słuch i wzrok tak ostry, jak zwierzęta dzikie, do których zresztą z upodobań i skłonności byli bardziej, niż do ludzi, podobni. Instynkty zwierzęce mieli rozwinięte w wysokim stopniu.

Doktor Honorat nie spał. Siedząc pod dębem, do którego był mocno uwiązany, myślał wciąż jeszcze, pomimo wielkiego bólu, o zręczności, z jaką dokonano amputacyi jego małego palca. To ukryte w nim głęboko uznanie dla „operatora". nie przyszło odrazu. Poprzedziło je niemniej głębokie przerażenie; było ono zupełnie zrozumiałe, w chwili, gdy doktor zobaczył zbliżającego się doń jednego z braci, z nożem w ręku.

Równie zrozumiałym był potworny strach, jakiego doznał ów zacny człowiek poprzedniej nocy, gdy bracia Vautrin oblegali oberżę pod „Czarnem Słońcem". Doktór wiedział, że w chwili, gdy bracia uciekli z więzienia — był skazany na śmierć. Jego zeznanie przecież prowadziło ich na szafot. Można więc było stracić zimną krew!

Ostatecznie jednakże biedny doktor zachował pewną swobodę umysłu, by módz ocenić zręczność, z jaką dokonano na nim operacyi.

Zresztą trzeba pamiętać, że doktor liczył bardzo na skutki tej operacyi.

Hubert — znający się na ziołach — zatamował mu krew i obwinął zranioną rękę, Szymon zaś tłómaczył:

— Wiesz dobrze, że gdybyśmy chcieli zrobić ci co złego — nie odcinalibyśmy palca. Ale jesteś dla nas zanadto drogi. Rozumiesz? Możesz ocalić nam życie. Oddamy cię twoim przyjaciołom w dniu, kiedy prezydent ogłosi w swym oficyalnym dzienniku, że nas ułaskawia. Skażą nas na galery! No, jeszcze tam nie siedzimy! A ostatecznie zawsze lepsze galery, niż gilotyna! No więc — żeby zachęcić pana prezydenta do zostawienia naszych głów na karku — odcinamy ci ten palec. Jak dostanie to przez pocztę — zobaczy, że nie trzeba żartować z trzema braćmi!

— A jeżeli prezydent nie zgodzi się? — zapytał więzień.

— O! jeżeli nie zgodzi się... na drugi dzień poślemy mu jeszcze kawałek...

— Jeszcze kawałek... — jęknął nieszczęśliwy... — jeszcze kawałek... a jeżeli i wtedy nie ustąpi, — co mu poślecie trzeciego dnia?

— Trzeciego dnia? Do djabła! myślę, że wówczas możesz się modlić!... Ale ostatecznie może do tego nie przyjdzie! Miejmy nadzieję, doktorze, miejmy nadzieję!... Dostać przez pocztę mały palec — hm — to robi wrażenie!...

Doktor myślał teraz o tem i obliczał swe szanse. Był przekonany, że rząd nie będzie się wahał, i że ocali życie swemu obywatelowi, lekarzowi, którego śmierć w takich warunkach wywołałaby skandal w całym świecie cywilizowanym. W głębi duszy — był zdania, że rząd, z natury złośliwy — mógł zawsze przyrzec ułaskawienie trzem braciom. Potem — naturalnie można było jakoś z tej sprawy wybrnąć! Czekał więc cierpliwie pod drzewem, do którego był przywiązany tak sztucznym węzłem, iż nie próbował nawet go rozplątać.

Zresztą wiedział, że przy najmniejszem poruszeniu — trzej bracia będą przy nim.

Pierwszy zbudził się Eliasz. Rzucił okiem na więźnia. Potem przeciągnął się, ziewając głośno. Ziewanie obudziło braci:

— O! o! — mruknął Hubert — późno już, a mała nie wraca!

I nie mówiąc nic więcej, odczepił swój nóż myśliwski. Doktor jęknął.

— Tak, mój stary, trzymaj się, jeżeli mała za godzinę nie wróci — bywaj zdrów!

Doktor, czując, że wszystkie członki mu drętwieją, zamamrotał coś niewyraźnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Bilety wizytowe.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z liter umieszczonych na biletach wizytowych ułożyć zajęcie, zawód lub godność poszczególnych osób.

FILIP OLOF GROSE-ROI

ADAM TA R SATYR
Tyczyn

ANNA TYMPECKA

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. Rapacz, Bolęcin.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

L e ś n y, P a d, p i j, s z u k a m.

Szarada.

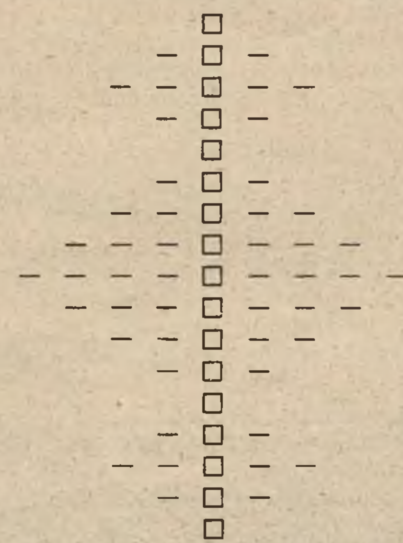
Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Najpierw zaimek, a nazwą kraju
Jest druga z trzecią, całość zaś w maju
Wokoło ganku liście rozpina,
A kiedy latem kwitnąć zaczyna
To zwykle, aż do późnej jesieni,
Złotem, purpurą w słońcu się mieni.

Logogryf.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda imię i nazwisko polskiego bohatera.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zdrobniałe imię męskie. 3. Miejscowość kąpielowa w Niemczech. 4. Jenerał polski. 5. Samogłoska. 6. Owad. 7. Imię żeńskie zdrobniałe. 8. Inaczej stary. 9. Polska rodzina szlachecka. 10. Miasto w Królestwie Polskiem. 11. Mały koń. 12. Ptak. 13. Samogłoska. 14. Części wozu. 15. Bohater rzymski. 16. Rzeka w Europie. 17. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

Z każdego z poniżej umieszczonych wyrazów wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich nazwisko polskiego poety.

Sieniawa
Biała
Dunajec
Przemsza
Tanew
Wisłoka
Wiar
Lipnica
Szkło

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

W o k n i e k o l e i: k u r, k w o k a, k u r y!

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

A n i e w i e m i t o: c o u n i e ś ć?

Rebus.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Jordana (Juliana Wieniawskiego):* **Kartki z mego pamiętnika.** 2 tomy.

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Halince, Sokołów. Otrąbki abaridowe jako ciało obojętne nietylko znakomicie oczyszczają skórę zewnątrz ale otwierają pory i dozwalają wszelkim nieczystościom podskórnym wydobywać się na powierzchnię. Najlepiej twarz myć gąbką zmoczoną w dobrze ciepłej wodzie i zanurzoną w otrąbkach Biust i plecy należy myć tym samym sposobem.

K. P., Krosno. Wągryna przygotowana jest specyalnie przeciw usunięciu czarnych punkcików na twarzy. Nieszkodliwa i nie drażniąca skóry. Prawdziwie skuteczna. Przy stosowaniu wągryny należy używać mydła dra Krysiewicza. Do konserwacyi zębów i jamy ustnej nadają się najwięcej zalecane przez lekarzy, eliksir, proszek i pasta Tymentol wyrobu Centr. Labor. Chem. w Warszawie.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można

we Lwowie, ul. Akademicka L. 21

w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Restauracya Starego Teatru
pod nowym zarządem
otwartą została dnia 24 września

Doborowa kuchnia pod kierunkiem pierwszorzędnego kuchmistrza z Warszawy.
Piwo pilzneńskie. Piwnica zaopatrzona obficie w najlepsze napoje i trunki
Cztery gabinety artystyczne z pianinami.

Mała sala na bankiety, wesela i zebrania towarzyskie.
Codziennie kwartet muzyki salonowej
ANTONI KWIATKOWSKI
i RUDOLF STREIT
restauratorzy.

ŚWIATŁO „Brikettid“ najlepsze i najtańsze

najnowszy i najpraktyczniejszy system instalujemy w pałacach, dworach, klasztorach, fabrykach, hotelach, restauracyach, willach, pensyonatach, szkołach, sklepach, biurach, dworcach, domach prywatnych
a w ogóle tam gdzie n'ema elektrowni i gazowni.
Patenty we wszystkich państwach. — Gwarancya.
Dogodne warunki spłaty. Cenniki i kosztorysy odwrotnie.

W celu przekonania się o doskonałości **światła** naszego **„Brikettid“** zapraszamy P. T. Interesantów, do naszych lokali.
Generalne zastępstwo
Wiedeńskiego Tow. dla oświetleń „Brikettid“
w Krakowie, ul. Radziwiłłowska 23/N.

Do tańca zamiast orkiestry lub grajków tak w domach prywatnych, jak i na większych zabawach **grajcie na**
Pathéfonie



Tylko Pathéfon pozwala grać dowolnie długo do tańca bez przerwy, gdyż szafiru zmieniać nie trzeba, tylko przesuwać membranę na początek płyty. Reprodukcya bardzo głośna i czysta W użyciu w szkołach tańców. **Cenniki gratis.** Wszelkie naprawy we własnej pracowni. Każdą maszynę innego systemu można uczynić instrumentem naprawdę wartościowym, dodawszy do niej membranę Pathe za K 10 lub K 25.
St. Grudziński
i Tad. Berger
Telefonu Nr. 305. **Kraków, ul. Szewska L. 22**
Na zabawy w miejscu **wypożycza się** pathefony za umiarkowaną opłatą i kaucyą.

Rzadka sposobność!
100.000 par wysokich bucików skórkowych do sznurowania
3 pary wysokich, całych z najlepszej czarnej skóry bucików do sznurowania tylko K 13·75.



Z powodu niewypłacalności jednej z największych fabryk jestem upoważniony sprzedawać tę olbrzymią ilość bucików znacznie niżej od cen kosztu. Sprzedaję przeto każdemu **3 pary wysokich skórzanych bucików do sznurowania** z silnie przymocowanemi podeszwami ze skóry, bardzo eleganckiego fasonu. — Wielkość według numeru albo miary centymetrowej. Otrzyma każdy te 3 pary bucików do sznurowania zupełnie według wyboru damskie lub męskie wedle ryciny. — Wysyła za zaliczką pierwszy chrześcijański dom eksportowy obuwia
Franz Humann,
Wiedeń II/2, Aloisgasse 3/33.



Dlaczego
nie wysłał Pan jeszcze 30 hal. w markach! Otrzyma Pan darmo 1 wzór i illustrowany, polski cennik najnowszych hygienicz.
Specyalności gumowych „ESSHA“
wszędzie do nabycia, za tuzin: K 3·—, 4·—, 6·—, 8·—
Główny skład: S. N. Herzog, Wiedeń, XVII/3.
Hernalser-Hauptstrasse 79.

Najlepsze brzytwy Solingen z gwarancyą, że są najlepszej stali ang. kute,



ręką ostrzone na włos obciągnięte, gotowe do użytku Nr. 8701 czarno polerow. opr. 1/4 wklęsła 4/3 szer. z etui K 1·70 Nr. 8702 czarno poler. opr. 1/2 wklęsła 4/3 szer. z etui K 2·20. Większy wybór przyborów do golenia znajduje się w mym głównym katalogu z 4000 rycin, który na żądanie wysyła się darmo i opłatnie. Do sprowadzenia przez c. i k. nadw. dostawcę
Hanns Konrad Dom wysyłk. w Brüx Nr. 2930 (Czechy).

Zawiadamiam
P. T. Publiczność, że dnia 20 stycznia 1912 otwarty został
HOTEL MONOPOL
wraz
z Kawiarnią i Restauracyą
w Krakowie, przy ul. św. Gertrudy 6, tel. 415
dawniej (**Hotel Kleina**).
Hotel położony jest tuż naprzeciw plant obok głównej poczty, niedaleko przystanku kolei elektr. Pokoje świeżo odrestaurowane i na nowo z najwyższym komfortem urządzone.
Światło elektryczne. **Ceny przystępne.**
Z wysokiem poważaniem
Zygmunt Billet.

Filie własne w Krakowie:
Grodzka 9 11 Groble 21
Szewska 15 Dietla 35 (Hotel Müllera)
Pierwsza krajowa
Pralnia Parowa
oraz
ZAKŁAD
Chemicznego czyszczenia i farbowania
Podgórze — Kraków
Nadwiślańska 10. Tel. 1496.
Filie własne w Podgórzu:
Nadwiślańska 10. Staromostowa 3.



Wysyłam broń wszelkiego rodzaju, jak „Hammerlessy“, Drylingi, lankastrówki, floberty, rewolwery, pistolety i t. d. w cenach fabrycznych. Reparacye jak najtaniej. Dla osób zaufania godnych dogodne spłaty. Wysyłam lepszą broń na 8 dni na próbę i do oglądnięcia nie zobowiązując tem do kupna. Ilustr. cenniki darmo. **Fr. Dušek,** fabryka broni **w Opočnie** przy drodze kolei żelaznej Nr. 2062 (Czechy).

Przeglądnij Pan!
przed zakupnem towarów użytkowych i podarków wszelkiego rodzaju mój bogato illustrowany główny katalog z 4000 rycinami, który na żądanie każdemu darmo i opłatnie wysyłam.
C. i k. dostawca dworu
HANNS KONRAD
w Brüx Nr. 2952.
(Czechy).

Puder kryształowy
„Helios“
najlepszy puder teraźniejszości drobna ilość wystarczy do wywołania znakomitego efektu.
Odznacza się tem, że nieszkodliwy i nie zatyka porów skóry. — **Nadaje twarzy wyraz dyskretnej matowei białości.**
Wszędzie do nabycia.
Cena pudełka Kor. 3·—. Krem kryształowy Helios K 1·50. Mydło kryształowe Helios 80 hal.
Wysyła się razem frko za K 5.
Próbki pudru kryształowego Helios wysyła za przesłaniem 50 hal. w markach opłatnie.
Laboratoryum kosmetyczne
Apteki Edelmana, Sambor

Lampy naftowe.



Różecki i Janowski, dawniej
R. DITMAR, Kraków, Rynek 22
poleca wielki wybór
lamp naftowych i elektrycznych
po cenach fabrycznych.
Wszelkie przybory do lamp naftowych i elektrycznych.
Serwisy porcelanowe
od koron **25** do **900** koron.
Zastawy szklanne
do codziennego użytku i luksusowe z czeskich, belgijskich i francuskich fabryk.
Ceny niskie i stałe. — Towary zbytkowne, jako to: figury, wazony i t. p.

PIERWSZORZĘDNA PRACOWNIA **SUKIEN MĘSKICH**
Materyały i krój angielski.
Leona Grabowskiego
właściciel firmy: **Gabryel Grabowski**
Wykończenie artystyczne.
w Krakowie, ulica Szpitalna L. 36. Telefon Nr. 561.

Lalki
Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie
poleca w wielkim wyborze
C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE
ul. Grodzka 2

C. K. DOST. NADW.
„UNDERWOOD“
Generalny zastępca na Galicyę
EMIL URICH, Lwów, ul. Sykstuska 29 ⊙ Tel. 901
Kraków, ul. Szewska 19 ⊙ Tel. 1164
poleca **oryginalne amerykańskie maszyny do pisania z zupełnie widocznem pismem.**

Maszyny do powielania, rachowania i kopiowania listów. Przybory do maszyn wszelkich syst. Szkoła nauki pisania na maszynach według amerykańskiego systemu. Zakład przepisywania i powielania pism na maszynach.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.